

Gabriel Dobosz – "Ci, którzy przychodzą znikąd"

I. Król i Mag

"Krocę wśród umarłych jestestw rozszarpanych,

od krwi wolne zbrocze, blask złocisty na nim (...)"

(Fragment wiersza Venura Lisyllwara)

Z półmrokiem komnaty bezskutecznie zmagало się kilka świec. W ich lichym świetle ledwo widoczne było wielkie łoże z baldachimem. Na nieruchomej twarzy leżącego w nim mężczyzny tańczyły cienie, które rzucały poruszane przy każdym drgnięciu powietrza płomyki. W szeroko otwartych oczach odbijał się ich blask. Zadrżały znów, gdy obok stołu przeszła wysoka postać. Usiadła przy łożu, pochyliła masywną sylwetkę nad leżącym. Złota korona skrzyła się na siwowłosej głowie.

– Synu... – wyszeptał król Taomir Nereveil.

Mówił cicho w nadziei na otrzymanie odpowiedzi, nie chciał przegapić jej, gdy nadejdzie nagle zza spierzchniętych ust. Daremnie. Książę Enzetel trzeci już tydzień leżał powalony niemocą. Jego oczy, choć otwarte, pozbawione były życia, rozchylone wargi milczały. Choroba zmieniała księcia w pustą skorupę ciała bez władającej nim woli. Jadł, pił, wydalał, z pomocą innych chodził, lecz prowadzony poruszał się jak kukła, bezwolnie i mechanicznie. Umysł opuścił księcia pozostawiając tylko podstawowe odruchy.

Nadwornicy medycy uczyniwszy swoje badania rozłożyli bezradnie ręce. Zalecali dużo spokoju i odpoczynku w nadziei, że w końcu chorego opuści paraliżująca go mgła. Zazwyczaj chętnie wygłaszający swe uczone mądrości, tym razem nie dali królowi odpowiedzi. Wcale tego nie oczekiwał, znał ją. Stała w kącie komnaty za jego plecami, częściowo skryta w mroku.

– Podjąłeś decyzję, panie? – zapytał z ciemności głos Tigurila Bronnhawa.

Król nic nie odrzekł. Dawno wypalił się w nim płomień gniewu kierujący jego ramię do rękojeści przypasanego ostrza. Gdyby to było tak proste, pomyślał gorzko.

– To nie potrwa już długo. Jedyne dziedzica tronu szybko opuszczają siły, a ratunku znikąd – ciągnął Królewski Mag. – Musisz, panie, myśleć o przyszłości królestwa...

– Nie będziesz mnie uczył, jak mam rządzić. Ty na pewno nie.

Niespieszne kroki Maga rozbrzmiewały na kamiennej podłodze.

– Nie zamierzałem. Pragnę jedynie służyć radą waszej wysokości, jak nakazuje mój urząd. – głos mężczyzny zwyczajowo był monotonny i wyprany z emocji.

Król Taomir gwałtownie odwrócił się do rozmówcy.

– Widzisz te ręce, przybłądo? – teatralnym gestem pokazał mu dłonie. – To one podtrzymują ten kraj. A widzisz ten miecz? Zawsze bronił moich ziem od szumowin podobnych tobie. Bez niczyjej pomocy.

– Co jednak, gdy zabraknie władającego nim ramienia? Z całym należnym szacunkiem, masz już swoje lata, panie.

– Mam też coś, czego ty nigdy nie pojmiesz. Przez całe życie wiara mnie nie zawiodła, a groziły mi już większe niebezpieczeństwa niż jeden człowiek z wygórowanymi ambicjami.

Mag uśmiechnął się nieznacznie.

– Tak, wasze tajemnicze Światło. Czy istnieje ktoś, kto widział je na oczy? Światło to mit ze zmurszałych historycznych ksiąg, legenda mająca usprawiedliwiać dawne podboje królestwa. Po co trwać przy tych niestworzonych historiach, skoro wasza wysokość doskonale zna prawdę? Sam powiedziałeś, panie, wszystko jest kwestią woli.

Król westchnął. Zamknął na moment oczy masując czoło palcami.

– Zrobiłeś już, co mogłeś, szarlatanie. Nie ugnę się, tak jak nie ugiąłby się żaden z moich koronowanych poprzedników. Ludzie o giętkich kręgosłupach nie są godni nosić takiego nakrycia głowy, dlatego też ciebie nigdy to nie czeka. Gdyby tylko coś to zmieniło, wiedz, że bez zwłoki własnoręcznie położyłbym cię trupem i napluł na stygnące truchło. Gdyby też Światło raczyło dać mi więcej potomków...

– Poświęciłbyś go?! – nagle ożywił się Mag. – Własnego syna, dziedzica tronu za bajki o świecących ludziach? I jaką wtedy przyszłość zgotowałbyś, o królu, swemu ludowi?

– Światło jest przyszłością, nie my. Ciała nasze są słabe, umysły zawodne, a życie krótkie. Ono zaś jest wieczne i przysięgam ci na własne życie, Tigurilu, że twoja wola, choć nieludzko silna, nie przeemoże jego zamysłów. Rób, co uważasz, Nereveia nigdy nie pokłoni się przed tobą. Nie dopóki żyją jeszcze jednostki gotowe oddać swe życie w służbie.

– Swe życie, ale czy także życie innych? – przemówił nagle zachrypnięty głos.

Zaskoczony król drgnął na jego dźwięk. Odwrócony w kierunku Maga nie zauważył, że księżę Enzetel ocknął się z letargu. Popatrzył na syna z mocno bijącym sercem.

– Synu mój! – wykrzyknął.

Księżę wstał lekko, jakby dopiero co zbudził się z poobiedniej drzemki, a nie długiej choroby. Stał przed ojcem – wysoki, o długich kończynach i szerokich ramionach – a jego spojrzenia nie mąciła już zasnuwająca umysł mgła. Przeciwnie, oczy miał czujne i bystre, jakby potrafił sięgnąć nimi daleko poza mury ciemnej komnaty.

– Enzetelu! – król gwałtownie porwał go w ramiona. – Światłu niech będą dzięki!

Młody mężczyzna czekał cierpliwie nie oddając uścisku.

– Moje prośby zostały wysłuchane, choroba opuściła cię! Potrzebujesz czegoś? Powiedz, jak się czujesz?

– Oczywiście, że potrzebuję. Straciłem mnóstwo czasu – odrzekł książę.

– Zaraz każę służbie wszystko przygotować, tylko...

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, ojczu.

– Słucham? – zdziwił się król.

Enzetel wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w ojcowskie oblicze. Położył dłonie na jego ramionach.

– Naprawdę byłbyś gotów poświęcić mnie w imię swojej wiary?

Król Taomir zmarszczył brwi szczerze zatroskany.

– Jestem twoim ojcem, ale przede wszystkim jestem królem. Zrozumiesz to pewnego dnia, gdy ciężar korony spocznie na twojej skroni.

– Ależ ja rozumiem już dziś. To, o czym tu mówiliście było bardzo pouczające.

– Ty... słyszałeś naszą rozmowę?

– Tak, ojczu. Słyszałem co powiedziałeś i... czego nie powiedziałeś. Łatwo jest złożyć w ofierze kogoś innego. Co jednak, gdy trzeba uczynić to z samym sobą?

I nagle dłonie spoczywające na ramionach króla chwyciły jego szyję. Zaskoczony wydał zduszony jęk, a potem obaj mężczyźni runęli na łóżko szamocząc się. Młodszy z nich, choć ledwie wstał z łoża, z którego obawiano się, że już nie powstanie, był jednak silniejszy. Palce Enzetela zaciskały się powoli na gardle ojca z każdą chwilą odbierając mu oddech.

– Co... czynisz, synu...?! – wyrzucił władca wytrzeszczając oczy.

– Daję nową przyszłość temu królestwu. Moją własną. I żadną inną.

Ciemna mgła poczęła spowijać oczy króla Taomira Nereveila pogłębiając mrok słabo oświetlonej komnaty. Ostatnim, co zobaczył było beznamiętne oblicze Królewskiego Maga Tigurila Bronnhawa stojącego tuż za plecami pochylającego się księcia.

II. Nocne spotkanie

Wkraczający do spowitego mrokiem nocy lasu kapitan Tamorho Gronn spodziewał się w każdej chwili usłyszeć krzyki czekających na niego ludzi wraz ze złowrogim dźwiękiem dobywanych mieczy. Od jakiegoś czasu nie opuszczało go wrażenie, iż jest dyskretnie obserwowany i cieszy się wolnością tylko dlatego, że Mag postanowił ująć go na gorącym uczynku. Każdy ciemny kształt między drzewami przypominał głowę przyczajonego żołnierza, każdy szelest brzmiał jak skrzypienie butów nadchodzącego z tyłu zabójcy. Tamorho Gronn, kapitan Straży Królewskiej, pomimo to wchodził coraz głębiej w mrok lasu trzymając dłoń na rękojeści miecza. W tę ciemną noc szedł zdradzić swego króla.

Po chwili ostrożnego marszu dotarł nad strumień. Nikt tam nie czekał, aby go pojmać. Zatrzymał się w umówionym miejscu przy zarośniętym mchem głazie. Nie minęła minuta, gdy w ślad za nim spomiędzy drzew nadeszła zakapturzona postać.

– Wasza Ekscelencjo – Tamorho skłonił się lekko.

– Dobry wieczór, kapitanie. Cieszę się, że pan przyszedł, choć wolałbym, co oczywiste, by spotkanie to odbyło się w nieco innych okolicznościach – odrzekł przybysz. Był szczupły i wysoki, pomimo podeśzłego wieku poruszał się w sposób świadczący o ciągle zachowanej sprawności.

– Trudno oczekiwać innych, gdy przychodzi porzucić sprawę, dla której działamy przez całe życie.

– Kapitanie, obaj wiemy, że królestwo...

– Nie zamierzam zmieniać decyzji – przerwał ostro Tamorho. – Przejdźmy do rzeczy. Czy udało się Waszej Ekscelencji dowiedzieć czegoś więcej o Magu?

Starszy mężczyzna westchnął.

– Wygląda na to, że jest tak, jak ludzie powiadają. Tiguril Bronnhaw, nim obwołał się Królewskim Magiem, przyszedł dosłownie znikąd. Prowadzone przez nasz zakon śledztwo nie przyniosło odpowiedzi. Podobnie stare księgi. Nie ma żadnej wzmianki, by przez ponad pięćset lat istnienia królestwa pojawił się ktoś podobny. Nawet w chłopskich podaniach, nawet w niepotwierdzonych manifestacjach Światła nie sposób doszukać się podobnej postaci.

– Możemy zatem, jak rozumiem, wykluczyć jakiekolwiek powiązania Maga ze Światłem?

– Najprawdopodobniej. Jego poznana przez nas dotychczas natura ukazuje inne sposoby i, przede wszystkim, motywy działania. Tajemnicza moc Maga musi mieć inne źródło.

Tamorho zmarszczył brwi. Tego się obawiał. Niedostatek informacji tylko pogłębiał jego wątpliwości.

– Kapitanie, co się wydarzyło w noc śmierci króla Taomira? – zapytał starzec.

– Mag był z nim cały wieczór. Zamknęli się w komnacie, gdzie leżał książę Enzetel. Król polecił, by nikt im nie przeszkadzał. Nic niezwykłego, Jego Wysokość często czuwał przy łóżku długotrwale chorego syna. Tamtej nocy jednak książę nagle odzyskał siły, a króla Taomira rankiem znaleziono martwego. Nadworny medyk orzekł śmierć we śnie, a ustalenia straży to potwierdziły. Osobiście przesłuchałem wszystkich, kazałem sprawdzić żywność i szukać wszelkich śladów działalności z zewnątrz. Niczego nie znaleziono.

– Zatem Mag... ?

– Nic na to nie wskazuje. Nie na tyle, aby go oskarżyć.

– Jednak obaj chyba nie mamy wątpliwości, co do jego wpływu na królewski ród – powiedział starszy mężczyzna. Już za jedno to zdanie mógł trafić pod sąd, a jego zakon ulec rozwiązaniu.

– Nie ma na to niepodważalnego dowodu. Moc Maga potrafi oddziaływać dyskretnie. Proponuję, abyśmy podsumowali dotychczas zgromadzone na jego temat informacje.

Tamorho grał na czas; tocząca się w jego duszy walka nie ustawała. Choć już samo to, że tu przyszedł było jasnym dokonaniem wyboru, ciągle nie potrafił wypowiedzieć na głos słów przypieczętowujących zdradę.

– Dobrze więc. Zeszłej jesieni do królestwa zawitał człowiek przedstawiający się jako Tiguril Bronnhaw. Przyjechał konno do stolicy i zażądał audiencji u króla Taomira Nereveila. Był sam, bez broni, z niewielkim dobytkiem i skromnym odzieniem.

Tamorho dobrze pamiętał ten dzień. Pamiętał szalony wyraz twarzy trzęsącego się jak osika Gimyliona i innych swoich podwładnych, którzy za nic nie potrafili wytłumaczyć dlaczego wpuścili nieznanego człowieka do królewskiego zamku i zaprowadzili przed oblicze samego monarchy. Znał każdego z nich od lat, ale nigdy nie widział ich w takim stanie. Mag najwyraźniej bez większego wysiłku zamienił tych twardych, zahartowanych w boju strażników w rozdygotane bezwolne kukielki.

– Król Taomir, co zaskakujące, przyjął go – ciągnął opowieść starzec. – Co więcej, pozwolił mu zamieszkać na zamku. Krótco potem mianował go Królewskim Magiem i zarazem stałym członkiem Rady. Nikt z tam zasiadających nie sprzeciwił się temu... nie wyłączając mnie.

On też doświadczył mocy Maga na własnej skórze, pomyślał Tamorho.

– Wiem, że to z pewnością pana zastanawia, kapitanie, ale moja odpowiedź zrodzi raczej więcej pytań, niż wyjaśnień. W chwili mianowania Tigurila po prostu nie mogłem zaprotestować. Popatrzył na mnie, popatrzył na każdego z nas po kolei, tymi wiecznemi sennymi oczami, a potem... – załamał bezradnie ręce – Zamilkłem. Nie potrafiłem znaleźć słów, jak gdyby kazano mi przemówić w obcym języku, który ledwie znam. Miałem zamęt w głowie i czułem... zimno. Gdzieś z tyłu czaszki, w środku, jakby... – starzec urwał.

To samo mówili strażnicy. Jedno spojrzenie Maga, a potem paraliżujące zimno. Dobrze pamiętali, co robili, lecz własne czyny obserwowali z boku. Tamorho doskonale rozumiał zakłopotanie rozmówcy, choć sam nigdy nie doświadczył tajemniczego wpływu Tigruila Bronnhawa.

– Co działo się dalej? – spytał przerywając kłopotliwe milczenie.

– Jako członek Rady Królewskiej Mag uzyskał stały dostęp do króla Taomira. Właściwie nie odstępował go na krok. Monarcha, uzasadniając swoją decyzję, oznajmił, że Tiguril jest mędrce z dalekiego kraju i przybył tu, by służyć swą wiedzą królestwu. Z początku nic się nie zmieniło. Sprawy toczyły się swoim torem, ludzie przestali zadawać pytania przywyklszy do nowego lokatora zamku. Potem jednak książę Enzetel nagle zapadł na tajemniczą chorobę, a król zdawał się być coraz bardziej zmartwiony. Wszyscy

tłumaczyli to stanem zdrowia syna, lecz, moim zdaniem, ciążyło na nim jakieś dużo większe brzemie. Władca skrycie zmagał się z czymś. Niespodziewanie nasz król zmarł, natomiast książę nagle powrócił do zdrowia. Wszystko to działo się, jak pan wspomniał, przy obecności Maga. Następca tronu, ledwie tylko korona spoczęła na jego skroni, zaczął prowadzić politykę zmian.

– W rzeczy samej, książę Enzetel bardzo się zmienił – wtrącił Tamorho. – Jego Ekscelencja z pewnością pamięta jakim był wcześniej człowiekiem – lekko wycofanym intelektualistą, miłośnikiem natury, utalentowanym pieśniarzem. Po swoim ozdrowieniu księcia opanowała dziwna zawziętość. Nie śpiewał już pieśni, czytane wcześniej księgi pokrył kurz. Nie widzę dziś w jego oczach dawnej spokojnej rozwagi, raczej przebiegłość i pełną chłodu niezrozumiałą niecierpliwość.

– Pewnie ma pan rację, kapitanie, zna go pan lepiej. I pewnie zgodzi się pan, że przed swoją chorobą nigdy nie zdecydowałby się na takie posunięcia. Młody Enzetel zawsze z szacunkiem traktował obowiązujące w królestwie tradycje. Obserwując jego dorastanie wszyscy przewidywaliśmy, że będzie władcą silnym, sprawiedliwym i mądrym jak jego ojciec. Tymczasem jako król zaczął nadawać liczne przywileje szlachcie, podniósł podatki, powrócił do rozmów w sprawie autonomii południowych ziem, ogłosił amnestię dla więźniów w zamian za służbę w wojskach zaciężnych. Nakazał też zwiększyć wydobywanie w królewskich kopalniach oraz napełniać spichlerze. W połączeniu z wysuwanymi, póki co dość ostrożnie, roszczeniami do królestw na zachodzie i napomknieniami o możliwej renegocjacji traktatu pokojowego z Naghaard, prowadzi to do niepokojących przypuszczeń, obaj wiemy jakich.

– To już nie są tylko przypuszczenia, Wasza Ekscelencjo. W ubiegłym miesiącu w ścisłej tajemnicy przybyło na zamek poselstwo z Abgzardu. Spójrzmy prawdzie w oczy – na zachodzie szykuje się nowa wojna, lecz tym razem zamiast powstrzymywać Abgzard, dokonamy najazdu do spółki z nimi. Królestwo Nereveii pod rządami Enzetela Nereveila napadnie na obce ziemie po raz pierwszy od czasu wojen z dzikimi ludami i olbrzymami. I to na ziemie swoich dotychczasowych sprzymierzeńców.

I już, stało się. Kapitan Tamorho Gronn wyrzekłszy te słowa dopuścił się zdrady korony. Co dziwne, teraz już zdecydowany podążać tą drogą, poczuł przy tym ulgę. Oby tylko się nie mylili. Jego i tego starszego człowieka, z którym spotkał się w lesie, by spiskować przeciw królewskiej władzy, osądzi historia.

Jego rozmówca nie wydawał się poruszony ujawnionymi informacjami.

– Wydarzenia następują tak, jak myślałem, choć szybciej. I coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że za nimi wszystkimi stoi Mag.

– Jest jeszcze coś, Wasza Ekscelencjo – rzekł Tamorho – Król zamierza zrezygnować z usług członków zakonu. Dziś zdecydował o cofnięciu im pozwolenia na wejście do zamku.

Ta wiadomość zaskoczyła starca.

– Zatem Mag postanowił od razu rozprawić się z zakonem. Musimy działać niezwłocznie.

Od samych początków Królestwa Nereveii, jeszcze od czasów, gdy królowie byli jednocześnie wielkimi mistrzami Zakonu Światła, w sali tronowej oraz przy komnatach królewskich pełniło wartę dwóch zakonników odzianych w ceremonialne płytowe zbroje. Był to raczej element tradycji, aniżeli realna ochrona władców, tym zajmowała się Straż Królewska. Tamorho nie wyobrażał sobie, by król Enzetel, zawsze darzący Zakon Światła wielkim szacunkiem, od tak pozwolił sobie na otwarcie nieprzyjazny gest pod jego

adresem.

– Ale co uczynimy? Nie możemy podważyć decyzji króla – powiedział.

– To nie król jest zagrożeniem. Nie mamy oczywiście żadnych dowodów, ale jak inaczej wytłumaczyć wszystkie te wydarzenia, jeśli nie manipulacjami Tigurila? Oba nam dane było dobrze poznać zarówno poprzedniego, jak i obecnego władcę. Niewytłumaczalna zmiana ich zachowań i sprzeczne z dotychczasową polityką decyzje zaczęły się z chwilą przybycia Maga. Skoro potrafił on oddziaływać z taką siłą na członków Rady oraz straż, to dlaczego nie miałby przejąć kontroli nad królewskim rodem?

– Jak się domyślam, Wasza Ekscelencja nie proponuje oficjalnie przedstawić sprawy przed Radą?

Tamorho coraz mniej podobał się przebieg tej rozmowy.

Starszy mężczyzna westchnął.

– Obawiam się, że będziemy musieli posłużyć się innymi środkami.

– Takie próby były już podejmowane...

Co prawda wieść o incydencie podczas turnieju rycerskiego nie przedostała się do publicznej wiadomości, Tamorho widział jednak zajście na własne oczy, a późniejszych konsekwencji nie sposób było z nim nie skojarzyć.

Ostatni turniej jak zawsze przyciągnął na zamek masę gawiedzi. Rada Królewska oglądała zmagania rycerzy ze swej loży, lecz Mag nie zdecydował się zasiąść wraz z nimi. Samotnie, z dala od tłumu, przechadzał się przy samych szrankach z zaciekawieniem obserwując pojedynki. Nagle podbiegł do niego jeden ze stajennych, którzy nieopodal doglądali rycerskich koni. W ręku młodzieńca błysnęło krótkie ostrze. Przerażony Tamorho natychmiast ruszył ku niemu, lecz był boleśnie świadom, że nie zdąży. Wtem, będąc już przy swej ofierze, młodzian niespodziewanie przystanął, a oręż wypadł mu z dłoni. Wystarczyło jedno spojrzenie Maga, by napastnik osunął się na ziemię niezdolny wyrządzić mu jakiegokolwiek krzywdy. Zaaferowani strażnicy przybiegli parę sekund później. Tiguril, chłodny i opanowany jak zawsze, polecił im zabrać nieznajomego do aresztu, po czym z niezmałonym spokojem podziwiał dalej widowisko. Wszyscy skupieni byli na walkach, więc mało kto w ogóle zauważył krótki incydent, a jeśli nawet tak się stało, nikt nie uznał go za zamach. A przecież tym właśnie był.

Po zakończeniu turnieju Mag udał się do celi z uwięzionym młodzieńcem. Nie spędził tam dużo czasu, może kilka minut. Wychodząc, polecił zdumionemu strażnikowi wypuścić więźnia. Gdy ten wszedł do celi, zastał jednak chłopaka martwego; niedoszły zamachowiec powiesił się na własnej odzieży zaczepiwszy ją o kraty w oknie. Tiguril Bronnhaw zaś oznajmił, że musi pilnie wyjechać i dosiadłszy konia opuścił stolicę.

Następnego dnia wydarzyła się rzecz jeszcze dziwniejsza. W godzinach popołudniowych przybył na zamek przerażony goniec z niewiarygodnymi informacjami. Królestwo Nereveii dotknęło trzęsienie ziemi, rzecz niespotykana na tym obszarze, gdyż podobne zjawiska występowały jedynie na dalekim południu. W wyniku gwałtownych wstrząsów miasto Gammorynd zostało kompletnie zniszczone. Kamień na kamieniu nie został z potężnych murów, domów i pięknego zamku, co później Tamorho ze zgrozą oglądał na własne oczy. Stare miasto, które pamiętał z młodych lat, potężna siła zrównała z ziemią. Przebywający

tam wówczas wraz z rodziną hrabia Hlenveril zginął pogrzebany pod gruzami. Ród Hlenverilów władał tymi ziemiami od pokoleń i, jak podejrzewał Tamorho, nie było to bez znaczenia.

Choć miasto zostało starte z powierzchni ziemi, okoliczne wioski, co zaskakujące, niemal nie ucierpiały. Kapitan Gronn odwiedził miejscowe szynki w poszukiwaniu świadków niecodziennego zjawiska. Kilku pastuchów, którzy tego dnia wyprowadzali swoje stada na okoliczne pastwiska twierdziło, że widzieli dziwnego mężczyznę kręcącego się po wzgórzach. Nieznajomy stał tam samotnie i gapił się na mury Gammorynd, a chwile później ziemia zaczęła drżeć. Podany przez wieśniaków rysopis odpowiadał wyglądowi Maga.

Nic w tej sprawie nie było pewne, lecz Tamorho gotów był postawić swój roczny żołd, że zagłada miasta była zemstą Tigurila Bronnhawa za zorganizowanie zamachu na jego życie. Jeśli tak właśnie wyglądała prawda, jego umiejętności nie ograniczały się tylko do manipulowania ludźmi. Dysponował on przerażającą niszczycielską mocą gotową bez litości zmieść jego wrogów. Któż mógłby przeciwstawić się niepojętej sile, która obracała w perzynę warowne mury?

– Być może istnieje ktoś taki – odpowiedział na wyrażane przez Tamorho wątpliwości starzec. – Podsumowaliśmy wszystko, co jest nam wiadome. Pozwoli pan teraz, kapitanie, że podzielę się z panem pewnym pomysłem.

Starzec krótko zreferował, co zamierza. Tamorho nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– To wszystko?! Całą sprawę zamierza Wasza Ekscelencja oprzeć na jakichś niepotwierdzonych domysłach? To przedsięwzięcie może się okazać nic niewarte, a w tym czasie Mag wciąż królestwo w wojnę!

– Nic innego nam nie pozostało. Nie jesteśmy w stanie usunąć go z Rady, nie gdy z łatwością może każdego przeciągnąć na swoją stronę... także nas samych. Potrzebujemy pomocy z zewnątrz. Niech poprowadzi nas Światło, to w jego blasku narodziło się królestwo, ono od zawsze chroniło koronę. Musimy tylko zawierzyć jego mocy.

– Światło?! – wybuchnął Tamorho – Gdzie było wasze Światło, gdy ten uzurpator omamił nas wszystkich i zamordował naszego króla?! Gdzie jest teraz, gdy swoimi gierkami burzy wiekowy porządek?!

Wysoka postać starca zeszywniała.

– Zważaj na swe słowa, kapitanie Gronn – warknął. – Gdyby przed wiekami czcigodny Król-Wojownik Nerevil nie zaufała Światłu, żylibyśmy dzisiaj jako poddani Abgzardu. Zakon Światła zdobywał te ziemie, Zakon ich bronił i nie ugiął się nawet gdy króla Hloudwina dotknęło szaleństwo, co niemal doprowadziło do rozpadu Nereveii. Światło nie opuściło nas wtedy, nie opuści i dzisiaj.

Tamorho zreflektował się.

– Proszę wybaczyć. Gniewem napęla me serce myśl, że tak mało możemy zrobić. Czy Wasza Ekscelencja wie już, kto mógłby wyruszyć w tę podróż?

– Owszem. Jest pewien człowiek.

– Oby zatem starczyło mu zdolności. Pomoc obcych, nawet jeśli zechcą nam jej udzielić, może okazać się

niewystarczająca.

– Zwycięstwo należy do Światła. Nam pozostaje tylko walczyć o nie – w odpowiedzi starszy człowiek zacytował jedną z myśli Króla-Wojownika.

– Zastrzegam jednak, że być może będę musiał przedsięwziąć i inne środki. Nie zamierzam stać bezczynnie, jeśli sytuacja stanie się beznadziejna.

– Wszyscy robimy to, co musimy, kapitanie. To, czego się od nas wymaga – odrzekł starzec po chwili milczenia.

Choć Tamorho nie widział dokładnie w mroku, postać starca zdawała się garbić, jakby ciążyło na niej jakieś niewidzialne brzemień.

III. Wybrany

Pobrzękiwanie zbroi niosło się echem po wyłożonym kamieniem korytarzu. Venur Lisyllwar spieszył się. Przybył do miasta spóźniony, powiedziano mu, że obrady rady miejskiej już trwają. Skinął głową wartownikowi i wszedł do sali otrzepując płaszcz ze śniegu.

W przestronnym pomieszczeniu z radością powitał ciepło bijące od rozpalonego w kominku ognia. Przy długim stole zasiadało dwudziestu radnych, przewodniczący, a także królewski poseł. Ten ostatni, elegancki mężczyzna odziany w drogie szaty z królewskim herbem, zerwał się z krzesła na widok wkraczającego Venura.

– Dobrze, że jesteś, panie. Oni... oni oszaleli! Król musi się natychmiast o tym dowiedzieć – oznajmił błądy na twarzy.

Przewodniczący rady również powstał. Był niewysoki, jego starannie zaczesane do tyłu włosy przyprószyły już siwizna.

– Jestem Gerun Fartwehig. W imieniu rady, jako mający zaszczyt jej przewodniczyć, pragnę powitać cię w Maqtallan, czcigodny zakonniku. Doceniamy twe przybycie pomimo tak trudnych warunków pogodowych – rzekł kłaniając się.

– Venur Lisyllwar, do usług. Proszę wybaczyć spóźnienie. Śnieżycza zaskoczyła mnie na południowym gościńcu.

– Oczywiście, to rozumią. Z przykrością muszę jednak oznajmić, że nie potrzebujemy już pańskich usług.

Venur zmarszczył krzaczaste brwi.

– Obawiam się, że nie rozumiem – powiedział ostrożnie. Jechał tu dwa dni w fatalnej pogodzie z rozkazu samego króla.

– Jego Wysokość postawił radę miasta Maqtallan w wysoce niezręcznej sytuacji. Mieliśmy prowadzić dalsze rozmowy z Marszałkiem Koronnym, rzecz idzie wszakże o przyszłość dużego miasta. Tymczasem król przysłał tylko posła, w dodatku z bardzo rozczarującym nas stanowiskiem, którego, pomimo naszych próśb, nie chce złagodzić. Nie pozostawia nam to dużego wyboru, panie.

Venur popatrzył na przewodniczącego, a potem na przerażonego posła.

– Z pewnością możliwe jest wypracowanie porozumienia, ale musimy rozmawiać. Po to tu jestem. Proszę, usiądźmy, niech każda strona jeszcze raz przedstawi swoje racje – rzekł.

– W rzeczy samej, nie rozumiesz, panie – odparł zimno przewodniczący Fartwehig – Nie będzie więcej rozmów. Król najwyraźniej nie uznaje nas za partnerów godnych takowych.

– Nie podoba mi się ten ton. Rada miejska nie może stawiać żądań koronie. Czyż nie dość swobód już otrzymaliście?

Przewodniczący uśmiechnął się.

– My niczego nie żądamy. Rada to lud, jesteśmy tylko jego głosem.

– A kimże jest lud, by decydować? – warknął Venur. – Ziemie te są własnością króla Taomira Nereveila.

– Już nie, zakonniku. Od dziś miasto należy do tych, którzy w nim mieszkają. My, mieszkańcy, zbudowaliśmy Maqtallan. Mamy pełne spichlerze, znakomitych rzemieślników i straż, która nas broni. Sami możemy o sobie decydować, bez oglądania się na łaskę władcy.

– To oburzające! – zagrmiał królewski poseł – Jakim prawem podejmujecie takie działania?

– Prawem woli ludu, panie. Ludzie ci nas wybrali, byśmy w ich imieniu zarządzili miastem. Ich wolą jest, by jedyna władza nad nimi pochodziła od nich samych. Dziś tę wolę spełniamy.

Przewodniczący Fartwehig pokazał Venurowi pergamin. Zakonnik czytając nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Treść deklaracji niepodległości przegłosowano na zgromadzeniu rady. Dziś, wobec konfrontacyjnej postawy korony, dokument został podpisany przez przewodniczącego oraz wszystkich członków i niniejszym wszedł w życie ze skutkiem natychmiastowym. Wkrótce nastąpi publiczne ogłoszenie. Od dziś na terenie miasta i okolicznych wsi proklamowane zostaje Wolne Miasto Maqtallan z radą miasta jako tymczasowymi władzami do czasu zorganizowania nowych wyborów.

Venur zacisnął usta w wąską kreskę. Jak można było do czegoś takiego dopuścić? Król Taomir zawsze odznaczał się opanowaniem i mądrością, lecz tu wyraźnie przez dłuższy czas zabrakło zdecydowanego działania – pomyślał, gdyż nigdy nie śmiałyby wypowiedzieć podobnych słów na głos.

– Zatem rzeczywiście czas na rozmowy minął – rzekł patrząc po radnych. Do posła zaś dodał: – Niech pan bezzwłocznie wyrusza w drogę. Król musi wiedzieć, co tutaj zaszło.

Posel natychmiast opuścił salę, jakby tylko czekał na te słowa. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Venur położył dłoń w grubej skórzanej rękawicy na rękojeści miecza i przemówił głośno.

– Ja, Venur Lisyllwar, rycerz Zakonu Światła Króla-Wojownika Nrevila, na mocy nadanych mi przez koronę uprawnień aresztuję wszystkich tu zgromadzonych pod zarzutem zdrady stanu, a wydane przez was akty prawne unieważniam, jako naruszające prawa fundamentalne królestwa. Wszyscy natychmiast złożcie broń i stańcie pod ścianą.

Atmosfera napięcia zgęstniała w sali obrad, jakby nagle wypełnił ją dym. Szmer niedowierzania przebiegł wśród patrzących po sobie radnych. Tylko przewodniczący nie stracił rezonu.

– Można się było tego spodziewać. Władza królewska już tu nie sięga, rycerzu. To raczej ty naruszyłeś nasze prawo. Jestem zmuszony prosić cię o natychmiastowe opuszczenie Wolnego Miasta Maqtallan.

Szelest wyciąganego z pochwy żelaza szybko obiegnął pomieszczenie. Blask płomieni z kominka zatańczył refleksiem na gładkiej powierzchni obnażonego ostrza długiego miecza zakonnika.

– To ostatnie ostrzeżenie! – rzekł z mocą Venur zaciskając palce obu dłoni na rękojeści.

– Daruj sobie te groźby. Straż!

Drzwi sali otworzyły się gwałtownie. Do środka wpadł trzymający tam wartę strażnik, jego dwaj kompani nadbiegali już korytarzem. Najwyraźniej rada była przygotowana na taką ewentualność. Zbrojni jednak nie dobyli jeszcze oręża. Nie czekając na to, Venur ruszył naprzód unosząc miecz. Na sekundę spojrzał w przerażone oczy strażnika, który zrozumiał już, że popełnił błąd. Próbował jeszcze wyszarpnąć broń z pochwy, gdy rozpędzona klinga rozplatała mu gardło poziomym cięciem. Padł na bok krwawiąc obficie, a tymczasem przybył następny. Ten był już gotów do walki, w dłoni trzymał obnażony jednoręczny miecz. Jego ostrze nie mogło się jednak równać z mierzącym blisko sto trzydzieści centymetrów trzymanym oburącz długim mieczem Venura. Strażnicy nosili na szczęście tylko kolczugi i szyszaki, które nie gwarantowały całkowitej ochrony przed atakiem taką bronią.

Nadbiegający mężczyzna natarł z impetem tnąc od góry. Rycerz zakonny przepuścił jego atak schodząc na bok, po czym kontratakował ukośnym uderzeniem w hełm. Metal rąbnął o metal z głośnym brzękiem. Choć osłona głowy wytrzymała, strażnik zachwiał się niesiony własnym pędem, co natychmiast wykorzystał Venur. Z krokiem wprzód dźgnął go potężnie w pierś, a sztych ciężkiego miecz z łatwością przebił słabe ogniwa lichej kolczugi. Ledwo zdążył oswobodzić długi miecz z upadającego ciała, gdy na miejsce dotarł ostatni z przywołanych gwardzistów.

Nie był tak lekkomyślny jak umierający właśnie na podłodze poprzednicy. Przyjął postawę, przez moment mierzyli się oceniając nawzajem. Nagle mężczyzna dał krok naprzód markując cięcie z góry, by zaraz zaatakować odsłonięte nogi. Venur odskoczył i kontratakował, lecz przygotowany na to strażnik sparował uderzenie. Następnie od razu ciął na obojczyk zgodnie z wpojoną zasadą, by zawsze podążać za otwarciem przeciwnika. Rycerz jednak też ją znał. Zastawił się ustawionym prawie pionowo ostrzem i ruszył z pchnięciem zahaczając jęlcem klingę oponenta. Jakimś cudem zaatakowanemu udało się obronić, skrwawiony sztych przemknął tuż obok jego twarzy. Walczący zwarli się w klinczu. Słabo wyszkolony strażnik szarpał się niezdolnie, nie wiedział co czynić w takim stadium walki. Venur przeciwnie. Napierając odepchnął na bok zakleszczone ostrze przeciwnika, czym zyskał nieco miejsca. Masywną głowicą u dołu rękojeści rąbnął go w twarz czując jak pęka przy tym kość nosa. Mężczyzna zawył gardłowo. Zakołysał

się zdezorientowany, co wykorzystał Venur, by zastawić nogą tył jego kolana. Podcięty strażnik z hukiem runął na plecy, miecz wypadł mu z dłoni. Nim zdołał choćby jęknąć, krótkie, celne pchnięcie przebiło jego odsłoniętą szyję.

Lekko zdyszany Venur wyszarpnął miecz. Radni miejscy stali przy stole oniemiaли ze zgrozy na widok zadanej z taką łatwością śmierci. Tylko Gerun Fartwehig śmiało odpowiedział na spojrzenie rycerza.

– I co dalej? Co teraz zrobisz? Jesteś sam, rycerzu, nikt ci w tym mieście nie pomoże. Gdy ludzie dowiedzą się co zrobiłeś, rozerwą cię na sztuki. Odlóż miecz i poddaj się, a obiecuję, że sąd Maqtallan sprawiedliwie rozpatrzy twoją sprawę.

Venur zaśmiał się pogardliwie.

– Mnie chcesz sądzić? Ty śmiesz mi mówić cokolwiek o sprawiedliwości, zdrajco? – wycodził. – Wszyscy stawać twarzą do ściany!

– Nas też zarzujesz? Oto, jak twój król przemawia do swego ludu: żelazem!

– Jak sam zauważyłeś, rozmowy dobiegły końca. Albo pójdziecie ze mną i staniecie przed Jego Wysokością, albo zginiecie tutaj stawiając opór. Wybór należy do was.

Ciężka cisza zległa w sali. Blade twarze radnych mówiły wyraźnie, że nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Nagle lekko drżącym głosem odezwał się jeden z nich, młody mężczyzna w drogim odzieniu.

– Jakie dostaniemy gwarancje, panie?

Przewodniczący zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Macie słowo rycerza zakonnego, że w trakcie podróży nie spotka was krzywda, o ile nie podejmiecie prób ucieczki. Wasz dalszy los będzie w rękach króla Taomira. Nasz władca w swej mądrości z pewnością weźmie pod uwagę okazaną skruchę. – rzekł z naciskiem Venur.

Po krótkim wahaniu radny stanął pod ścianą. Kilku zaraz poszło w jego ślady. Rycerz czekał cierpliwie z mieczem opartym o bark. Po chwili skapitulował następny i następny, aż przy stole został jedynie Gerun Fartwehig. Jego twarz nie wyrażała niczego.

– Proszę oddać mi dokument. Posłuży za dowód w procesie – polecił rycerz.

– Procesie, słyszeliście? Zamiast osobiście ścinać mieczem, pan rycerz postanowił zostawić sprawę naszej egzekucji prawu! Tak łatwo daliście się kupić obietnicami o łasce króla? Powieszka nas jak zbrodniarzy, bo ośmieliliśmy się działać w imieniu ludu!

– Wiedzieliście, czym ryzykujecie stawiając się ponad prawo władcy, mieszkańinie.

Venur opuścił miecz i podszedł do stołu. Wszyscy radni, poza przewodniczącym, stali już w szeregu zaniechawszy dalszego oporu. On również musiał wiedzieć, że przegrał, mimo to do końca trwał przy swej beznadziejnej sprawie. W rękę trzymał pergamin z zapisaną na nim deklaracją niepodległości. Rycerz stanął z nim twarzą w twarz.

– Zejdziemy teraz do piwnic. Przykro mi, ale będziecie musieli pozostać w zamknięciu do czasu, aż zorganizuję transport.

– Rób, co musisz, rycerzu – zrezygnowany Gerun podał mu zwój. Zerknął przy tym w stronę towarzyszy przy ścianie.

Obaj stali obok stołu przy odsuniętym nieco krześle przewodniczącego. Venur akurat chował dokument pod płaszcz, gdy nagle jeden z radnych, ten sam, który pytał o gwarancje, rzucił się do ucieczki. Rycerz natychmiast ruszył, by odciąć mu drogę do drzwi. Gerun tylko na to czekał. Pchnął nogą ciężkie krzesło tak, że Venur z impetem wpadł na mebel i, choć zdołał utrzymać równowagę, boleśnie uderzył weń kolanem. Nim odzyskał stabilną postawę, przewodniczący rady z krzykiem doskoczył do jego pleców. Kolczuga uratowała rycerzowi życie. Wydobyte gdzieś z zanadru ostrze, szczęśliwie będące tylko lichym nożem, nie zdołało przebić ogni w zbroi pod ciepłym płaszczem. Rozwścieczony Gerun chciał pchnąć raz jeszcze, lecz zaatakowany odwracając się uderzył go z zamachu łokciem. Mężczyzna runął na stół krwawiąc z rozbitego nosa. Podczas zamieszania pozostali radni także zaczęli uciekać.

– Zdradziecki wężu! – ryknął gniewnie rycerz.

Brutalnym uderzeniem płazem miecza z powrotem rzucił na blat usiłującego wstać przewodniczącego. Potem ujął broń jednoręcz i wolną dłonią chwycił wymachujące wciąż nożem ramię w ten sposób, że rozciągnął je na całą długość, a przeciwnika szarpnięciem ułożył na brzuchu. Gwałtownie naparł na wyprostowany staw łokciowy, aż kość pękła z suchym trzaskiem. Gerun Fartwehig wrzasnął na całe gardło.

Wciąż jeszcze krzyczał, gdy Venur klnąc cicho biegiem opuścił salę zgromadzeń rady miasta Maqtallan.

*

Przebudził się z głośnym jękiem. Venura znów nawiedzał ten sam sen o Maqtallan. Powtarzał się przez wszystkie te lata, choć już nie tak często jak kiedyś. Westchnął. Kościanym grzebieniem przecesał niedbale długie ciemne włosy. Jak zwykle przypomniały mu się góry Achne'mur na wchodzie, gdzie podczas wypełniania swych obowiązków zdobył tę oryginalną pamiątkę. Tylko ona mu została z tych wspaniałych lat.

Nauczony zakonną dyscypliną wstał tuż przed świtem. Cekał go dzień wypełniony zajęciami. Zaczął od pracy w kuchni, gdzie wraz z innymi braćmi służebnymi przygotowywał poranny posiłek oraz sprzątał po nim. Następnie sprzątał stajnie i pracował w ogrodzie domu zakonnego. Po codziennych rozważaniach Objawień Światła miał trochę wolnego czasu do obiadu. Venur udał się do biblioteki. Lubił rygorystycznie przestrzeganą tu ciszę i nieliczne towarzystwo. Zasiadł z piórem w rękę, by dokończyć pisany od kilku dni wiersz.

Zajęcie pochłonęło go na tyle, że z początku nie zauważył stojącej nad nim postaci. Dopiero ciche chrząknięcie zwróciło uwagę Venura. Młody nowicjusz miał niepewną minę.

– Po obiedzie masz się stawić w komnacie wielkiego mistrza, bracie – rzekł i pospiesznie odszedł.

Venura nie zdziwiło jego pełne rezerwy zachowanie. Pewnie ktoś już zdążył mu powiedzieć, kim jest

osoba, której miał przekazać wiadomość.

Co oznaczało to wezwanie? Czyżby mistrz wreszcie zmienił zdanie, co do nałożonej kary? Venur wątpił w to. Zdążył już stracić nadzieję, że kiedykolwiek opuści mury domu zakonnego. Był kłopotliwy dla Zakonu Światła i zdawał sobie z tego sprawę. Po zakończeniu pracy w kuchni niezwłocznie ruszył po schodach na ostatnie piętro budynku.

– Wejdz, bracie, usiądź proszę – na pomarszczonym starannie ogolonym obliczu mistrza Aledyana jak zawsze gościł serdeczny uśmiech, gdy witał gościa w swojej komnacie.

Venur zaczekał, aż starszy człowiek usiądzie pierwszy przy dużej ławie, nim poszedł w jego ślady. Mistrz był wysoki i siwowłosy. Dawniej był z niego znakomity fechtmistrz, czego ślady wciąż były widoczne w jego płynnych, pewnych ruchach pozbawionych oznak starczego zniedołężnienia. To właśnie Aledyian Trenhoborg przed laty napisał traktat ujednolicający metodykę nauczania walki długim mieczem – podstawową bronią rycerzy zakonnych.

Pomimo zaszczytnej funkcji, trudno było doszukać się oznak przepychu w pomieszczeniu. Od kwater pozostałych zakonników różniło się tylko odrobinę większym metrażem, bogatą w księgi biblioteczką oraz stosami pergaminów zalegającymi na blacie. Venur czuł tu jednak ciężar historii. To tutaj urzędowali wszyscy poprzedni wielcy mistrzowie od czasu, gdy zakonna hierarchia na zawsze oddzielił się od rodu królewskiego.

– Wiem, że jesteś zajęty, bracie, nie zajmę ci wiele czasu. Chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co ostatnio dzieje się w królestwie – powiedział wielki mistrz.

Venur ukrył zaskoczenie. Oczywiście, był w miarę na bieżąco z wydarzeniami. Chętnie słuchał wieści od tych nielicznych rycerzy, którzy wciąż jeszcze chcieli z nim rozmawiać, ale sprawy kraju nie interesowały go już tak, jak dawniej.

– Nie jestem pewien, Ekscelencjo, czy to właśnie ze mną powinno się rozmawiać na ten temat. Z pewnością są w zakonie osoby dużo częściej bywające w świecie i lepiej zorientowane.

Jeśli nawet wielki mistrz wychwycił zawarty w wypowiedzi sarkazm, nie dał tego po sobie poznać.

– Jest pewne istotnej wagi zadanie do wykonania dla korony, a potrzebny do niego będzie człowiek... zdecydowany – odrzekł spokojnie.

Tym razem Venur nie zdołał powściągnąć uniesionych brwi.

– Wasza Ekscelencja ma dla mnie zadanie?

– Przyznaję, to dość wyjątkowa sprawa. Sądzę, że jesteś odpowiednią osobą, bracie Venurze.

– Od ponad dziewięciu lat nie opuściłem murów tego budynku – wycedził zimno Venur. – Zamiast prawdziwie służyć zakonowi, zajmuję się pracami przewidzianymi dla nowicjatu. Gotuję, sprzątam, przycinam krzewy, doglądam koni. To są jedyne moje... zadania.

Głos mistrza także nabrał ostrzejszego brzmienia.

- Odbywasz tu karę za swoje czyny. Przez ciebie zginęli ludzie.
- Słudzy zdrajców korony, którzy nie chcieli dobrowolnie pójść pod sąd!
- Nie podnoś głosu, bracie, nie zapominaj gdzie się znajdujesz – napomniął mistrz.

Venur posłusznie zamilkł.

– Swoim nieprzemyślanym działaniem nadszarpnąłeś reputację zakonu, a także samej korony. Po tym, jak w Maqtallan zabiłeś trzech ludzi i okaleczyłeś przewodniczącego rady miejskiej, wszyscy odebrali to jasno – król Taomir zamiast negocjatora przysłał kata, by wytracić niepokornych. Chyba wciąż nie zdajesz sobie sprawy, do czego doprowadziłeś! W mieście wybuchły krwawe rozruchy, nie sposób było już uspokoić nastrojów na drodze rokowań. Królewskie oddziały musiały wkroczyć i siłą zaprowadzić porządek. Zginęło mnóstwo ludzi, poddanych korony. Maqtallańczycy nigdy więcej nie zaufają królowi.

– Nie ufali już wtedy. Przecież oficjalnie wypowiedzieli posłuszeństwo, bo woleli by zarządzili nimi urzędnicy. Proszę wybaczyć, Wasza Ekscelencjo, wrócę już do swoich obowiązków – zirytowany Venur wstał. Nie miał pojęcia do czego miała prowadzić ta rozmowa.

Czerwony na twarzy mistrz rąbnął ręką w stół.

– Nigdzie nie pójdziesz bez mojego pozwolenia! Siadaj i słuchaj, co mam ci do powiedzenia... bracie!

Venur zamrugnął zaskoczony. Nie widział jeszcze wielkiego mistrza tak rozgniewanego. Z powrotem zajęł miejsce.

Głos starszego człowieka zelżał nieco, lecz oczy wciąż miały gromy.

– Nie będę więcej tolerował takiego zachowania. Zamiast przyjąć naukę ze swej długoletniej kary, wciąż się usprawiedliwiasz. Nie masz w sobie za grosz pokory, z której słynął nasz czcigodny patron, król Nerevil. Być może powinienem był przed laty inaczej rozstrząść twoją sprawę...

Obaj wiedzieli, co to oznaczało. Usunięcie z szeregów zakonu było równoznaczne z utratą szlachectwa. Venur stałby się wyrzutkiem, wyklętym nawet z własnej rodziny. Czekalby go los parobka, najemnika, lub zbójcy. Nie to jednak było najgorsze. Zakonnik opuszczający zgromadzenie, na własną prośbę, bądź z wyroku wielkiego mistrza, na zawsze tracił błogosławieństwo Światła, które spoczęło na nim w momencie pasowania na rycerza zakonu.

– Dopiero jednak w blasku Światła rzeczy nabierają klarowności – mistrz zacytował mądrość Króla-Wojownika. – Możliwe, że dobrze się stało. Wyruszysz w podróż, bracie Venurze, i Światło samo osądzi, czy dalej jesteś godzien mu służyć, czy nie.

– W podróż? – spytał z niedowierzaniem Venur.

Mistrz Aledyian przez chwilę pocierał czoło dłonią, jakby zmagając się z jakąś myślą. W końcu przemówił:

– To, co za chwilę powiem nie może wyjść poza to pomieszczenie. Zobowiązuję cię do zachowania absolutnej tajemnicy.

– Będzie jak Wasza Ekscelencja każe.

– Królestwo Nereveii boryka się ostatnio z pewnymi problemami. Pojawił się człowiek, który w krótkim czasie wywarł istotny wpływ na rodzinę królewską. Rozmawiałem z kilkoma osobami o tej sprawie i mam powody przypuszczać, że może on być niebezpieczny.

– Chodzi o Królewskiego Maga – bardziej stwierdził niż zapytał Venur.

Miał okazję spotkać Tigurila Bronnhawa. Krótco po dołączeniu do Królewskiej Rady odwiedził on siedzibę zakonu. Spotkanie to zapadło Venurowi w pamięć z powodu dziwnego zachowania wielkiego mistrza. Już samo to, że pozwolił wejść na teren osobie niezrzeszonej, ani nienależącej do rodu królewskiego było zastanawiające. Potem płaszczył się przed gościem, jakby był on dziedzicem tronu, bądź samym monarchą.

Do uszu Venura doszły już wcześniej wieści o tajemniczym pochodzeniu przybysza, o tym, że rzekomo był mędrce z jakiegoś odległego państwa. Słyszał też plotki, że Mag potrafi wpływać na ludzi samym spojrzeniem. Nie wiedział, co o tym sądzić. Obserwując szaloną politykę króla Enzetela, a także pamiętając o zagadkowej nagłej śmierci jego wciąż pełnego sił czcigodnego ojca, był w stanie uwierzyć w te rewelacje. Z drugiej jednak strony, gdy podczas wizyty w zakonie zobaczył Maga na własne oczy, nie był już taki pewien. Tiguril Bronnhaw, jak na człowieka, któremu przypisywano tajemną moc, niczym się nie wyróżniał. Wyglądał jak przeciętny mieszczanin, jak setki innych mijanych co dzień na ulicach stolicy i innych miast. Był mężczyzną w wieku około czterdziestu lat – może nawet rówieśnikiem Venura – średniego wzrostu, solidnej, choć nie imponującej budowy ciała. W eleganckiej koszuli i kamizelce, z zaczesanymi na bok ciemnymi włosami i gładką twarzą mógł uchodzić za średnio zamożnego kupca albo urzędnika. Niewiele mówił zwiedzając dom zakonny w towarzystwie mistrza Aledyana, jednak jego oczy z opuszczonymi lekko powiekami, jakby senne, patrzyły uważnie. Przyjrzały się też przez chwilę Venurowi, który spieszył akurat do swoich obowiązków. Zakonnik nie dostrzegł w nich niczego niezwykłego.

– Owszem. Z pewnością słyszałeś, bracie, pewne niewiarygodne pogłoski na jego temat. Na podstawie rozmów, które odbyłem, muszę przyjąć, że większość z nich jest prawdą. Tiguril dysponuje pewną... umiejętnością pozwalającą mu kontrolować zachowania innych ludzi.

Mistrz streścił odbytą zeszłej nocy rozmowę. Opowiedział o politycznych planach króla Enzetela, które wyglądają na przygotowania do najazdu na zachodnie kraje w sojuszu z Abgzardem, a także o próbie zamachu podczas turnieju wraz z jej implikacjami. Pomiął jedynie nazwisko informatora oraz swoje własne doświadczenia z mocą Maga.

– W działalność na dworze królewskim jestem w stanie uwierzyć – odpowiedział Venur wysłuchawszy opowieści – Kiedy służyłem w górach Achne'mur, widziałem tam przeróżnych kuglarzy, co to potrafili rozkazywać wężom samym spojrzeniem, usypiać ludzi wahadełkiem na łańcuszku, albo sprawiać, że znikły drobne przedmioty. Może Królewski Mag jest im podobny, lecz dużo zdolniejszy. W jakiejś odległej krainie nauczył się sprytnie omamiać ludzi i postanowił wykorzystać to, by podporządkować sobie kogoś wpływowego, nawet samego króla. Ale wywołanie trzęsienia ziemi to już, proszę wybaczyć, Wasza Ekscelencjo, rzecz całkowicie nieprawdopodobna. Niegdyś armia olbrzymów nie zdołała zburzyć murów Gammorynd, a miałby uczynić to jeden człowiek?

Wielki mistrz westchnął.

– Wszystko, co mamy, to przypuszczenia, bracie. Jedyne, co do czego jesteśmy pewni, to że Królestwo Nereveii obrało niepokojący kierunek działań, a zaczęło się to wraz z przybyciem na te ziemie Tigurila Bronnhawa. Chciałbym się mylić i nie jestem w tym jedyny, ale z dnia na dzień moje przekonanie zdaje się potwierdzać.

– Czego zatem Wasza Ekscelencja ode mnie oczekuje?

– Mag musi zostać odsunięty od królewskiego rodu. Wszelkim możliwym sposobem – powiedział z naciskiem mistrz.

Venur zdębiał. Takie słowa spodziewał się usłyszeć wszędzie, tylko nie z ust wielkiego mistrza Zakonu Światła.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem Waszą...

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– To... bezprecedensowa sytuacja. Wasza Ekscelencja chce wystąpić przeciwko członkowi Rady Królewskiej?! Takie zamiary pachną spiskiem, a nawet gorzej... Trudno mi uwierzyć w to, co właśnie usłyszałem.

– Zatem być może lepiej przemówi do ciebie słowo pisane, bracie. Czytaj – z kamienną twarzą rzekł mistrz Aledyian sięgając po jakiś pergamin.

Pismo wyszło spod ręki samego króla, o czym świadczyła pieczęć u dołu. Venur rzucił rozmówcy pytające spojrzenie, a ten tylko skinął głową przynaglająco. Zdumiony musiał przeczytać napisany pięknym pismem tekst dwukrotnie. Treść krótkiego dokumentu nie pozostawiała jednak złudzeń.

– To przyszło parę godzin temu. Sprawy zaczynają nabierać tempa, dlatego wyruszysz w podróż jeszcze dzisiaj.

– Niemożliwe. Król Enzetel nigdy nie podjąłby takiej decyzji – powiedział cicho Venur. Poczuł nagłą suchość w ustach.

– I ja tak myślę, bracie. Niemniej nie mamy innego wyboru, jak się podporządkować. Dokument wejdzie w życie za cztery dni. Tyle mniej więcej potrzeba, by wieść dotarła do wszystkich przedstawicieli zakonu. W momencie upłynięcia tego terminu, wszyscy rycerze Zakonu Światła z rozkazu króla Enzetela Nereveila zostaną pozbawieni swoich uprawnień oraz specjalnego statusu na terenie królestwa. Nie będziemy dłużej służyć w imieniu korony. W dalszym ciągu, jako szlachetnie urodzeni, możemy nosić broń, lecz nie w pobliżu członka rodziny królewskiej lub Królewskiej Rady. Nie mamy również wstępu do królewskiego zamku. Te ostatnie postanowienia weszły w życie z chwilą podpisania.

– To co dalej z zakonem?!

– Czytałeś przecież. Odtąd będziemy tylko "wielbiącym Światło i kultywującym dziedzictwo myśli czcigodnego króla Nerevila zgromadzeniem szlachty". Korona rezygnuje z naszych usług.

– Przecież to dzięki nam włada tymi ziemiami! – wybuchnął Venur. – Samo Światło powołało zakon, by zawsze stał przy tronie. Nie można nas tak po prostu odwołać!

– Nie – zgodził się wielki mistrz, choć wiedział, że w normalnej sytuacji powinien srogo ukarać współbrata za takie słowa – i z pewnością nie jest to wola władcy. Jemu zawsze byliśmy oddani. Nasza obecność jest za to problemem dla Maga. Jeśli spacyfikuje Zakon Światła, będzie mógł dalej działać bez przeszkód. Spodziewam się, że na jutrzejszym posiedzeniu Rady zostanę z niej wykluczony. Utracimy wtedy całkowicie dostęp do króla.

– Wasza Ekscelencja... nie może do tego dopuścić! – Venur pohamował się, by nie użyć dosadniejszych słów.

– Król Enzetel bardzo się zmienił od czasu swej choroby. Nie mam większych nadziei na zmianę decyzji. Ten problem należy rozwiązać w inny sposób, nie sądzę by dyplomacja wystarczyła.

– Co zatem mam uczynić, Wasza Ekscelencjo?

– Jak mówiłem, udasz się w podróż. Twoim zadaniem będzie odnalezienie pewnej osoby i sprowadzenie jej tutaj.

– Któż miałby to być?

– Widzisz, bracie, mam pewną teorię o pochodzeniu mocy Maga. Zebrałem nieco informacji na temat wywieranego przez niego wpływu na innych i wygląda na to, że istotą tego zjawiska jest wola. Każdy z nas obdarzony jest pewną zdolnością, siłą, która sprawia, że działamy zgodnie z postanowieniami. Tiguril Bronnhaw zdaje się mieć tej siły znacznie więcej niż przeciętny człowiek, więcej na tyle, by nawet narzucać ją innym. My, osoby przeciętne, nie możemy się z nim równać, nasza wola jest zbyt słaba, by oprzeć się jego oddziaływaniu. Całkiem jednak możliwe, że istnieje ktoś zdolny mu się przeciwstawić.

– Nie znam nikogo o podobnych zdolnościach – zauważył sceptycznie Venur.

– Ależ tak! O osobnikach tych wspominają obszernie nasze historyczne księgi, gdyż kiedyś byli dla królestwa nie lada problemem. Chłopskie legendy zawierają mnóstwo barwnych opisów ich niesamowitych dokonań, przy których moce Maga wcale nie wyglądają tak imponująco.

– Wasza Ekscelencja nie ma chyba na myśli...

– Właśnie tak, bracie. Upór, wytrwałość i odporność olbrzymów przeszły już do legendy. Tak nieugięte istoty z pewnością zdołają oprzeć się sztuczkom Tigurila Bronnhawa, a przynajmniej na tyle długo im nie ulegać, aby można było go... unieszkodliwić. Pojedziesz do ich ziem na północnym wschodzie.

Zatem tak wyglądało owe zadanie, pomyślał Venur. Domyślał się już ciągu dalszego.

– W zakonie byłeś uczony o ich zwyczajach – ciągnął mistrz – to bardzo honorowy lud, jak wiesz łatwo ich obrazić. Dlatego musisz wykazać daleko idącą uprzejmość i ostrożność. Na miejscu poprosisz o spotkanie z wodzem. Olbrzymy nigdy nie zbudowały własnego państwa, żyją w niewielkich klanach, prowadzą proste życie. Wszystko, co musisz zrobić, to przekonać któregoś z tamtejszych przywódców, by zgodził się udzielić nam pomocy. Weźmiesz trochę broni jako podarunek, gest dobrej woli. Olbrzymy są kiepskimi kowalami, ich oręż jest bardzo toporny i niewyważony. Kazałem już przygotować kilka mieczy dwuręcznych, będą odpowiednie do ich rozmiarów. Spodobają im się, to w końcu lud wojowników. Dostaną od zakonu więcej, jeśli któryś z nich, odznaczający się największą twardością, zgodzi się przybyć

wraz z tobą do Nereveii. Potem sprowadzisz go do zakonu. Nie muszę chyba dodawać, że cała podróż będzie musiała przebiegać w ścisłej tajemnicy.

Venur odchrząknął. Chwilę dobierał słowa nim przemówił.

– Wasza Ekscelencjo, gdy służyłem w górach Achne'mur, zetknąłem się tam z osiadłym niedaleko niewielkim klanem olbrzymów. Nie interesowały ich nasze sprawy. Żyli po swojemu, obojętni na los tamtejszych chłopów napadanych przez bandy rozbójników. Olbrzymy nie prowadziły z nikim handlu, nie zawierały znajomości. Do nikogo nie odnosiły się wrogo, po prostu traktowały nas jak powietrze. Rozmawiałem na ten temat z mieszkańcami wsi, którzy mnie gościli. Gospodarz powiedział, że obserwuje ich od dłuższego czasu i prawdopodobnie, w przeciwieństwie do nas, oni nie zapomnieli o wojnie sprzed dwustu lat. To długowieczne istoty, które słabo się rozmnażają; wielu ich wtedy zginęło, jeszcze po dziś dzień nie powrócili do dawnej liczebności. Podobno ciągle noszą uraz, że zostali zaatakowani i utracili część terytorium.

– Wiem o tym. Dlatego pojedziesz do krain na wschód od Abgzardu, gdzie nie było wojny.

– Nie wiem, czy to coś zmieni. Olbrzymy nie mają państwa, ale każdy z nich zna dobrze historię ich ludu. Nie sprzedadzą się za żelazo.

– Ty nie masz ich przekupić, bracie. Masz ich przekonać. Dla Światła nie ma nic niemożliwego. Czyżby twoja wiara aż tak osłabła przez te dziewięć lat, Venurze? Od wojny minęły dwa wieki, nie jesteśmy już wrogami. To honorowi wojownicy, tak jak i my, z pewnością dojdziecie do porozumienia – powiedział mistrz Aledyian wstając. Pochyliwszy się otworzył podłużną skrzynię. – Wszystko jest już przygotowane. Wysłałem gońców do pozostałych domów zakonnych królestwa. Oprócz rozkazów króla, dostaną też informacje o twojej misji. W razie czego w każdym z nich znajdziesz pomoc. Szykuj się do drogi, bracie, wyruszasz jeszcze dzisiaj. Dam ci najlepszego konia, prowiant, pieniądze i dary dla olbrzymów. Myślę, że to także się przyda.

Wielki mistrz położył na ławie długi miecz w pochwie oraz zakonny tabard. Venur natychmiast wyprężył się powstawszy. Serce biło mu jak szalone, gdy słuchał słów mistrza.

– Venurze Lisyllwar, niniejszym wzywam cię do służby Zakonowi Światła Króla-Wojownika Nerevila i przywracam do dawnej rangi rycerza zakonnego.

– Na rozkaz Waszej Ekscelencji – odrzekł Venur kłaniając się.

– Idź już, bracie. Czasu mamy coraz mniej. Kwatermistrz wyda ci wszystko, czego potrzebujesz.

Venur zabrał przedmioty ze stołu i ruszył do drzwi.

– I nie trać wiary – dodał na koniec mistrz Aledyian. – To na niej zbudowany jest nasz zakon i to królestwo. Dopóki ją mamy, nic ich nie pogrąży. Niechaj Światło zawsze wskazuje ci właściwą drogę, bracie.

– Waszej Ekscelencji również.

Ledwie tylko zamknął za sobą drzwi komnaty, Venur natychmiast narzucił na siebie tabard. Naszyte na tej lekkiej szatce bez rękawów złoto na niebieskim tle znów po latach zdobiło jego pierś. Od dziś każdy, kto ujrzy ten herb – zaciśniętą w pięść płytową rękawicę otoczoną złotą poświatą – rozpozna w jego wła-

ścicielu rycerza zakonu. Kara Venura Lisyllwara dobiegła końca.

– Najwyższy czas – mruknął do siebie i szybkim krokiem ruszył po schodach na sam dół zakonnego domu.

*

Zgodnie z obietnicą dostał od zakonu wszystko, o co poprosił. By zabrać cały ekwipunek, Venur potrzebował dwóch koni. Już same dwuręczne miecze ważyły sporo, a musiał zabrać także własny rynsztunek. Zakonny kwatermistrz bez słowa komentarza wydał mu kolczugę bez czepca, stalowy kirys, hełm, naramienniki, rękawice i nakolanniki. Do swego długiego miecza Venur dobrał nadziak, oraz sztylet z krzyżowym jalcem. Zabrał też prowiant, wszystko, co niezbędne do przygotowania stawy w podróży, a także łuk z kołczanem, gdyby musiał zapolować na zwierzynę. Późnym popołudniem był gotów do drogi.

Wyprowadziwszy konie ze stajni skierował się na niewielki plac, za którym znajdowała się główna brama domu zakonnego. Stał przy niej Aluh, brat służebny. Pożegnał Venura zaledwie zdawkowym skinięciem głowy, choć jeszcze rano razem pracowali w kuchni, po czym otworzył wrota. I już. Venur Lisyllwar nie oglądając się za siebie opuścił dom, w którym – jak myślał jeszcze kilka godzin temu – miał pozostać do śmierci.

Nie jechało mu się zbyt wygodnie. Przez lata odwykł od siodła, a do tego musiał prowadzić drugiego konia z bagażem. Ulice stolicy przemierzał zatem ostrożnie, przy okazji oglądając zmiany, jakie dokonały się przez okres jego pobytu w domu. Szczególnie dotknęły one biedniejszych rejonów bliżej bram miasta. Za króla Taomira budowano już solidniej; drewniane chałupy zastąpiły murowane domy.

Kilkadziesiąt minut później zostawił za sobą miasto. Venur jechał północnym gościńcem w kierunku wsi Aghune, gdzie miał zamiar spędzić noc. Maj w królestwie był jak zawsze przyjemnie ciepły. W przeciwieństwie do południowych krain, gdzie doskwierały upały, gwałtowne burze i trzęsienia ziemi, Nereveia cieszyła się umiarkowanym klimatem. Podróż przebiegała spokojnie. Pod szarzejącym już niebem w stronę miasta jechało kilka wozów kupieckich, by zdążyć przed zamknięciem bram. Niektórzy z podróżnych pozdrawiali Venura. Widok zakonnego tabardu od zawsze budził respekt, otwierał wiele drzwi i rozwiązywał ludziom języki, rycerz wiedział o tym doskonale. Z rozkazu króla wkrótce miało się to skończyć. Miał jednak nadzieję, że zdąży opuścić ziemie królestwa, nim rozejdzie się wieść o odsunięciu Zakonu Światła od służby Nereveii.

Aghune nie było już tą samą wsią, co kiedyś. W świetle chylącego się ku zachodowi słońca, Venur podziwiał, jak biedna niegdyś miejscina rozrosła się przez lata do rozmiarów miasteczka, nad którym górowała posiadłość rodu Gereminich władającego tymi ziemiami. Podobnie zmiany dotknęły tamtejszy zajazd. Teraz był to murowany piętrowy budynek z porządnym dachem. Rycerz wjechał do stajni, gdzie natychmiast pojawił się młodzieniec gotowy zaopiekować się jego dobytkiem. Venur dał mu miedziaka i spokojnie wszedł do przestronnej izby. Nikt w tych stronach nie odważyłby się podnieść ręki na mienie zakonu.

W sali było duszno i gwarnie. Tutejsi chłopcy zakończyli już pracę i tłumnie zebrali się na wieczorne rozmowy przy trunkach. Było też paru podróżnych, którzy zmierzali zapewne do stolicy. Kilka osób skinęło uprzejmie głową Venurowi, gdy przechodził do stołu. Usiadł nieco dalej od miejscowych. Na widok go-

ścia w koleczudze i tabardzie, szybko zainteresował się nim gospodarz przybytku.

– Witaj, panie. Jak to miło, że zakonnik odwiedził nasze skromne progi. Moja córka zaraz poda strawę.

Venur przyjrzał się mężczyźnie.

– Dobry wieczór, przyjacielu. Ależ się tu pozmieniało. Czy ty nie jesteś przypadkiem synem Kamenila?

– Tak, panie. Tatko zmarł przed trzema laty i teraz ja prowadzę karczmę. Musiałeś, rycerzu, długo bawić poza tymi stronami.

– W rzeczy samej, sporo czasu upłynęło nim byłem tu po raz ostatni. Usiądź, proszę na chwilę. Chętnie się dowiem, co słychać w okolicy.

Chłop z ochotą wdał się w pogawędkę. Zwyczajem każdego z nich ponarzekał trochę na suchą pogodę i prawdopodobnie kiepskie zbiory. W międzyczasie posiłek podała Venurowi nieśmiało uśmiechnięta panna o zarumienionym licu, która jednak nie odważyła się odezwać ani słowem. Powszechnie wiadomym było, że służący Światłu nie mogli zakładać rodzin.

– A jak się żyje za nowego króla? – zapytał rycerz.

Gospodarz zmarszczył brwi.

– Pan Geremini podniósł czynsz. Korona skupuje więcej zboża, ale nie płacą już tak jak kiedyś. Król Taomir parę lat temu wymurował mi zajazd, żeby tu jakoś wyglądało na drodze do stolicy, a teraz to by skórę z nas... – urwał, machnął ręką, a potem niespodziewanie zapytał: – Panie, będzie wojna? Ludzie tak gadają. Przyszli tu kiedyś żołnierze pana i szukali chętnych do służby. Mój najstarszy syn, jak się dowiedział, od razu poszedł. Wzięli go chętnie, bo to chłop na schwał jest.

– Jak ma nie być wojny, jak się sami proszą? – do rozmowy włączył się siedzący dwa krzesła dalej chłop.

– Niegdyś ratowaliśmy im dupską przed Abgzardem, a teraz rzucą się społem na nas. Taka to wdzięczność! – dodał ktoś inny. Najwyraźniej ten temat był już wcześniej poruszany przez miejscowych.

– A kto i czymże tak prosi się o wojnę? – zapytał Venur.

– Nie słyszałeś, panie? Królestwa na zachodzie panoszą się na granicznych ziemiach, że niby są ichnie. Teraz sobie psia mać przypomniaли, po tylu latach!

– Gównu by mieli, gdy.. gdyby nie m... my – wybełkotał ktoś siedzący dalej i nieco już zmożony piwem.

– Król Enzetel już się szykuje na nich, mówię wam – rzekł znów ten pierwszy. – Odrąbie im tę rękę, co wyciągają po nie swoje!

– A pewnie! Razem mają może z połowę ziemi, co my. Co nam mogą zrobić? Rycerstwo nasze rozniosło Abgzard, rozniesie i ich!

Odpowiedział mu pomruk aprobaty i stukanie kuflami.

Venur zapytał też bywalców o plotki ze stolicy, ale dworska polityka poza murami miasta nie bardzo interesowała ludzi. Nikt nie miał nic do powiedzenia na temat Maga.

Wkrótce nadszedł zmrok. Właściciel zajazdu nie chciał nawet słyszeć, by Venur nocował w izbie gościnnej wraz z innymi podróżnymi.

– A gdzieżby takiego gościa zacnego byle jak przyjmować? Będziesz spał, panie w naszych pokojach – zdecydował i polecił córce przygotować posłanie na piętrze.

Rycerz chętnie skorzystał z propozycji. Od razu zapłacił gospodarzowi, choć ten nawet słowem nie wspomniął o pieniądzach, a nawet trochę się wzbraniał przed przyjęciem zapłaty (przynajmniej dopóki nie zobaczył ile oferował mu zakonnik). Venur zawsze był pod wrażeniem zaufania i szacunku, jakim członkowie zakonu cieszyli się wśród ludu. Być może było ono związane właśnie ze sprawami finansowymi. Kto bowiem wstępował do Zakonu Światła z myślą o wzbogaceniu się, tego czekał srogi zawód. Zakon nie otrzymywał żadnych dotacji od korony, król przekazał mu jedynie nieco pól uprawnych i gruntów, gdzie stały domy zakonne. Żaden chłop nie płacił im czynszu. W razie wojny nie przysługiwało im prawo udziału w łupach. Słudzy Światła utrzymywali się z datków składanych w podzięcie za swoją służbę oraz z własnej pracy, m.in. wyrobów win, kowalstwa i innego rzemiosła. Skutecznie eliminowało to z ich szeregów rozpuszczonych synów szlachty, którzy pragnęli luksusów i zaszczytów, a nie skupiali się całkowicie na służeniu sprawie.

Leżąc w ciemności niewielkiego, ale schludnego pokoiku Venur wspominał swoje własne motywacje, by przed dwudziestu niemal laty wstąpić do zakonu. Prawie równe pół życia w służbie, pomyślał z uśmiechem. Podobnie, jak wielu innych przed nim, pociągała go tajemnica. Oddanie ideałom przyszło dopiero z czasem, z początku nie liczyło się nic innego, jak poznanie sekretu Światła; chłopiące marzenie o tym, by być jednym z niewielu w historii, którym ta zagadkowa moc się objawi. Mały Venur zapatrzony był w postać króla Nerevila i jego pełne chwały czyny po tym, gdy jako pierwszy człowiek poznał Światło.

Przed ponad pięciuset laty ziemie dzisiejszej Nereveii wyglądały zupełnie inaczej. Tutejsi ludzie żyli, podobnie do olbrzymów, skupieni w niewielkich wspólnotach rodowych i plemiennych. Panowało zacofanie, ziemię uprawiano w sposób mało efektywny przy pomocy prymitywnych narzędzi. Zimą ludzie umierali z głodu i zimna, latem od zarazy. Do tego dochodziły coraz częstsze najazdy dzikich plemion z gór na wschodzie. Na północy zaś rosła potęga Abgzardu, który coraz częściej patrzył chciwie na swoich biednych sąsiadów. Wtedy to w krainie Nervi, rozciągającej się na terenach dzisiejszej stolicy wraz z okolicznymi wsiami, tamtejszy przywódca zbrojnej bandy, Nerevil – nazywany tak od miejsca pochodzenia – podjął próbę zjednoczenia miejscowych plemion. Był młodym, lecz bardzo zdolnym wodzem. W ciągu pięciu lat na drodze rokowań lub miecza udało mu się opanować terytorium stąd aż do gór Achne'mur na wschodzie. Pod dowództwem Nerevila odparto dzikich najeźdźców, wprowadzono załączki administracji, budowano fortyfikacje, a z najlepszych w drużynie jego wojów zaczęła formować się klasa wojowników. Obserwujące to królestwo Abgzardu, obawiając się dalszych sukcesów ambitnego wodza, doszło do wniosku, że nie można dłużej czekać. Powstającą w wielkich trudach Nereveię czekała pierwsza wojna.

Początkowe potyczki szybko wykazały wyższość zorganizowanych wojsk nad słabo wyposażonymi i wyszkolonymi wojami Nerevila. Abgzard szedł jak burza bez trudu zdobywając północne ziemie i docierając do samej Nervi. Tam doszło do oblężenia warownego grodu, na którego szczątkach wznosi się dziś zamek królewski. Nerevil został otoczony przez wrogów. Wiedział, że pomimo zacieklej obrony, zdobycie osady było jedynie kwestią czasu. Armia dowodzona przez abgzardzkiego marszałka Ghda

Białego była liczniejsza, lepiej uzbrojona i bieglejsza w walce. Sytuacja zdawała się beznadziejna, lecz niespodziewanie do oblężonych uśmiechnęło się szczęście. Marszałek źle zaplanował pospieszną wyprawę wojenną. Wystąpiły problemy z zapasami żywności, a tutejsi chłopcy woleli raczej spalić swoje zbiory, niż oddać je najeźdźcom. Nie rozpieszczała również pogoda – przez obfite deszcze oddziały Abgzardu maszerowały w ciągłym błocie i wilgoci, zupełnie na takie warunki nieprzygotowane. Spowodowało to zachwianie morale armii, pomimo łatwo odniesionych zwycięstw. Do tego doszły problemy polityczne. Abgzard, co warto pamiętać, w tamtych czasach był właściwie kilkoma państwami połączonymi osobą władcy, a spory między prowincjami nie były wcale rzadkie. Część z nich zdecydowała się wycofać z dalszej kampanii i wrócić do ojczyzny ze zdobytymi łupami. Siły Ghdaka zostały uszczuplone, lecz wciąż miał przewagę. Wkrótce wydał rozkaz wyjścia do ostatecznego natarcia.

Nerevil widząc zmierzające ku umocnieniom oddziały, zrozumiał, że nie zdoła odeprzeć ataku. Oblężenie trwało już dość długo, poniósł duże straty, morale ludzi było w opłakanym stanie. Zgromadził pięciu swoich najbardziej zaufanych wojów, by wydać ostatnie rozkazy. Wbrew ich przewidywaniom nie miał zamiaru kapitulować. Nerevil zamyślił się i rzekł do nich:

– Opadli nas zewsząd nieprzyjaciele jak wilcy. Nastaje koniec mego panowania i teraz jeno śmierć będzie śpiewać pieśni o czynach synów Nervi. Niechże me ciało przyjmie tedy ta gleba żyzna jako pierwszego!

Powiedziawszy to dobył miecza, chwycił tarczę i z krzykiem wybiegł naprzeciw atakującym. Rozgoryczony niechybną porażką ruszył samotnie przeciwko maszerującym w szyku wojownikom Abgzardu, zdawać by się mogło na pewną śmierć. Wtedy właśnie stał się cud. Młody wódz prawie już wszedł w zasięg nieprzyjacielskich włóczni, gdy nagle wokół jego wysokiej postaci wybuchł oślepiający blask. Wrzask Nerevila niósł się w padającym deszczu, a tajemnicze światło bijące od jego ciała narastało. Abgzardzcy cofnęli się przerażeni niewytłumaczalnym zjawiskiem. Rozwścieczony Nerevil wbiegł między nich i ciął mieczem na oślep. W zwartym dotychczas szeregu wroga natychmiast zapanował chaos. Wojownicy padali pod furiackimi ciosami niezdolni nawet spojrzeć na jarzącą się niczym słońce postać; wielu porzucało oręż i uciekało w panice wpadając jedni na drugich. Niektórzy obrońcy grodu, gdy otrząsnęli się już ze zdumienia natychmiast ruszyli w ślad za wodzem. Czterdziestu siedmiu wojów, jak przekazują historyczne zapiski, wybiegło naprzeciw ponad dziesięciokrotnie liczniejszego wroga i w złocistym świetle roztaczającym się także wokół nich rozbiło najeźdźców w pył. Ponad dwustu Abgzardczyków położyli trupem, około stu wzięli do niewoli. Reszta uciekła w popłochu. Dopóki bitwa trwała, wszystkich obrońców grodu otaczało Światło. Tak narodził się jego kult.

Nieznający dotychczas strachu Abgzardzcy po dotkliwej porażce wrócili do swej ojczyzny. Mało kto stawiał opór Nerevilowi, gdy odbijał swoje północne ziemie. Wieść o nadnaturalnej mocy tutejszych wojowników rozprzestrzeniła się lotem błyskawicy. Dotarła na królewski dwór Abgzardu, do namiotów chanów dzikich plemion oraz do wszystkich lokalnych przywódców, których zjednoczył młody wódz z Nervi. Zebrawszy tych ostatnich Nerevil uroczyście ogłosił, że samo Światło wybrało go na króla tych ziem i odtąd jego ród będzie nimi władał, a królestwo jego nazywać się będzie Nereveia. Ponadto, jako pierwszy, którego dotknęła potęga Światła, powołał do życia zakon, by wielbił je za to wspaniałe zwycięstwo i służył wiernie koronie. Pozostałych czterdziestu siedmiu uczestników bitwy uczynił zaś rycerzami zakonnymi. Tak wyglądał początek długich dziejów Zakonu Światła.

Wkrótce Nereveia zaczęła wzbogacać się o nowe terytoria. Poprowadzono ekspansję na południe i zachód, od północy zaś budowano pas twierdz, gdyż wiadome było, że Abgzard z pewnością nie zapomni o doznanej porażce. Na wschodzie póki co panował spokój – ludy gór nie odważyły się wojować z króle-

stwem, a przynajmniej jeszcze nie. W samym Nerevilu także dokonała się istotna zmiana od czasu bitwy o gród Nervi. Wcześniej impulsywny, śmiały młody wódz stał się rozważnym, mądrym królem. Choć nałożywszy koronę nie odłożył na bok miecza, słynął odtąd z opanowania, pokory, pogody ducha, skromności i szacunku wobec kobiet. Nad wyraz kochał śpiewać pieśni, nie nadużywał trunków, chętnie słuchał opowieści starszych z ludu. Nauczył się nawet czytać i pisać. Prowadził dziennik, a jego zapiski po dziś dzień imponują przenikliwością stanowiąc inspirację dla nowych zakonników. Niektóre z jego sentencji przeszły do codziennego języka.

Gdy władza Nerevila umocniła się na zdobytych terenach, rozpoczęła się budowa państwa. Budowano miasta, warowne twierdze, w Nervi powstawała stolica. Król w swych mowach określił prawa fundamentalne królestwa – zasady, na których miało się opierać, a których żaden z jego następców nie miał prawa przekroczyć. Wydano też pierwsze ujednolicone prawo dla ludu. Wraz z rozwojem kraju rozwijał się i zakon. Wkrótce zaczęto zadawać pytania o jego przyszłość oraz czym tak właściwie powinien się zajmować. Po latach od pamiętnej obrony grodu niektórzy zaczęli szemrać, gdyż Światło nie ukazywało się ponownie w żadnej bitwie. Nerevil, jak tylko doszło to do jego uszu, natychmiast uciął spekulacje. Światło, jak nauczał, objawia się tylko tym, którzy zasługują i tylko wojownikom, dlatego, wbrew częstym prośbom, do Zakonu Światła przyjmowano tylko ludzi parających się wojennym rzemiosłem. Na następną manifestację Światła niedowiarzowie musieli czekać dość długo, bo do kresu rządów pierwszego króla. Czcigodny Nerevil nie ujrzał już za swego życia złocistej poświaty, mimo to jego wiara pozostawała niezłomna. Oślepiający blask Światła opromienił za to jego syna Hovara podczas koronacji na oczach dzieciątek zdumionych poddanych. Nikt już wtedy nie wątpił w moc stojącą za tronem Nereveii.

Jak podają zakonne kroniki, w historii królestwa doszło do ośmiu udokumentowanych manifestacji Światła. Zawsze następowały one w momentach wyjątkowych, jakby tajemnicza siła wskazywała właściwą drogę swemu wybranemu ludowi. W innych bowiem krajach nikt nie słyszał o tym niesamowitym zjawisku, nawet w legendach.

Bodaj najbardziej znacząca manifestacja Światła miała miejsce w trzecim wieku istnienia Nereveii za rządów króla Hloudwina, nazywanego później Szalonym. W istocie, krótko o objęciu tronu władca zaczął przejawiać niepokojące zachowania. Niekiedy zamykał się na całe dni w swej komnacie nie rozmawiając z nikim i zaniedbując swe obowiązki, innym razem popadał w maniakałny niemalże zapał. Nie tolerował wtedy żadnego sprzeciwu, gotów mordować własnych urzędników, którzy ze zdziwieniem przyjmowali jego dziwaczne życzenia bądź wykonywali je niedostatecznie gorliwie. Hloudwin oświadczył, że jest ucieleśnieniem Światła, włada jego mocą i samą tylko wolą potrafi podporządkować sobie nawet najdalsze krainy kontynentu. Zażądał od szlachty, by padali przed nim na kolana oraz tytułowali go "Jego Światłością". Wobec powyższego pod znakiem zapytania stanęła przyszłość zakonu, jak i samej Nereveii. Wrogom królestwa nie trzeba było większej zachęty do knoń.

Niebagatelną odwagą wykazał się wtenczas Zendoff Horaty, przeor domu zakonnego ze stolicy. Wystąpił na zgromadzeniu Rady Królewskiej oficjalnie oskarżając władcę o odstępstwo od wiary, złamanie praw fundamentalnych i domagając się jego abdykacji. Król wpadł w taki gniew, że o mało co własnoręcznie nie zatłukł ciężkim berłem niepokornego zakonnika. Straż Królewska ledwie zdołała go powstrzymać. Zendoff powiedziawszy to, co uważał, że miał obowiązek powiedzieć, był jednocześnie gotów poddać się każdej karze. Hloudwin oczywiście natychmiast odsunął go od pełnionej funkcji, a ponadto wysłał na wschód, gdzie toczyła się wówczas wojna z olbrzymami. Podczas szturm na jeden z ich grodów rozkazał, by były przeor szedł w pierwszej linii, co oznaczało praktycznie pewną śmierć. Tak się jednak nie stało. W czasie bitwy Zendoff ufny w moc Światła nieustraszenie ruszył do boju i rzeczywiście jego blask

przyszedł mu z pomocą. Podczas gdy inni rycerze padali od straszliwych ciosów maczug i toporów olbrzymów, zakonnik osłonięty gorejącą świetlaną poświatą walczył aż do zwycięstwa. Król Hloudwin nie uwierzył w wieści, które nadeszły z pola bitwy, inni jednak nie odważyli się sprzeciwić tak jasno wyrażonemu wyrokowi Światła. Zendoff Horaty został mianowany wielkim mistrzem Zakonu Światła, szalonego króla zmuszono zaś do abdykacji na rzecz swego jedenastoletniego syna.

Hloudwin nigdy się z tym nie pogodził. Wiele dni nie opuszczał murów zamku królewskiego pograżając się w udręce, aż pewnego ranka znaleziono jego martwe, połamane ciało u stóp jednej z wież. Odtąd zakonem zarządzili już zawsze wielcy mistrzowie, którzy wskazywali swego następcę lub, gdy było to z jakiegoś powodu niemożliwe, kolejnego mistrza wybierali spośród siebie zakonni rycerze. Zakon pozostał elitą rycerstwa Nereveii – szkolił w sztuce wojennej i nauczał o Świetle prawych mężów, by walczyli za koronę gdzie tylko byli potrzebni, a także służyli w kraju na każde wezwanie władcy.

Leżąc w ciemności pokoju Venur rozważał manifestacje Światła, tak jak czynił to co wieczór w domu zakonnym. Skupił się na dwóch pierwszych, one zawsze najbardziej go inspirowały. Myśląc o dawnych wydarzeniach, zapadł w sen. Znów śnił o Maqtallan, lecz tym razem przewodniczącym rady miasta był Tiguril Bronnhaw. Venur uniósł miecz, nie był jednak zdolny do zadania ciosu. Umysł spowiło wewnętrzne zimno, jakieś niewidzialne dłonie zdawały się trzymać go w stalowym uścisku. Mag tylko patrzył sennymi oczami. "Nie potrzebujemy już pańskich usług" – z lodowatym uśmiechem powtórzył słowa przewodniczącego.

*

Wczesnym rankiem Venur umył się w korytku. Przeglądając w tafli wody ogolił twarz i przeczesał sięgające ramion włosy. Karczmarz wcisnął mu trochę jedzenia na drogę, pomimo zapewnień, że jest dobrze zaopatrzony. Rycerz wrócił na szlak.

Podróżował bez przeszkód w dobrej pogodzie, zatrzymywał się na noc w wiejskich karczmach. W każdej powtarzano plotki o wojnie. Trochę zdziwiło to Venura. Nawet po trzech dniach drogi będąc już blisko północnej granic królestwa słyszał dokładnie to samo, tę samą niechęć do zachodnich sąsiadów dało się wychwycić w słowach chłopów. W czwartym dniu podróży rycerz opuścił Nereveię i wkroczył na ziemie Abgzardu. Już na pierwszy rzut oka widać było, że lud ten nigdy nie poznał Światła. Wiele spośród wsi Nereveii cierpiało niedostatek, szczególnie przy gorszych zbiorach, lecz w tutejszych panowała prawdziwa nędza. Ledwie zauważono Venura w jednej z nich, natychmiast do jego koni przypadła grupa żebraków w łachmanach. Odtąd starał się omijać osady.

Podążał teraz na wschód. Czekало go jakieś pół dnia drogi przez Abgzard, nim dotrze do terytorium klanów olbrzymów. Rycerz wybrał trasę w pobliżu zamku Kasmajan. Była to twierdza najbardziej wysunięta na wschód, strzegąca tamtejszej granicy. Wolał nie ryzykować podróży przez lasy, zbyt łatwo było tam o napad. Jadąc nie napotykał nikogo, w te strony rzadko ktoś się zapuszczał. Nie było po co, wysocy sąsiedzi Abgzardu nie mieli ochoty na jakiegokolwiek kontakty z królestwem. Czasem tylko jakiś kupiec wyprawiał się tędy do dalekich krajów leżących za górami Achne'mur.

Venur jechał obserwując położony na wzgórzu zamek. Z jego wysokich wież z pewnością można było sięgnąć wzrokiem aż do ziem należących do olbrzymów. Taka budowla była tu zbędna, pomyślał, z tej strony nie przyjdzie żaden najazd. Nagle zauważył jakieś poruszenie przy bramie warowni. Sześciu

jeźdźców wyjechało za mury. Zdążali w jego stronę.

Po jakichś dwóch minutach zbliżyli się na tyle, by Venur dojrzał dokładniej ich sylwetki. Byli uzbrojeni, nosili kolczugi i hełmy, ten jadący na przedzie miał na sobie tabard z jakimś nieznanym herbem. Drużyna miejscowego szlachcica. Rycerz zakonny spokojnie jechał dalej, dyskretnie poprawił jedynie pochwę z długim mieczem, aby w razie czego łatwo dobyć broni. Na ziemiach Abgzardu zawsze należało uważać, Nereveiczycy nie byli tu zbyt lubiani. Po chwili jeźdźcy zrównali się z nim.

– Stój! Dokąd jedziesz, wędrowcze? Ktoś ty? – odezwał się mąż z tabardem. Był dość młody, pewnie o połowę młodszy od Venura, średniej budowy. Zapewne syn miejscowego szlachcica.

Pozostali patrzyli na Venura nieprzyjaźnie. Byli spokojni, ale z pewnością nie zawahaliby się sięgnąć po wiszące u pasów miecze.

– Venur Lisyllwar, do usług. Nie musisz się mnie obawiać, panie. Jestem tu tylko przejazdem i wkrótce opuszczę twoje ziemie – odpowiedział uprzejmie rycerz zwalniając, ale nie zatrzymując koni.

– Panie, to świetlik – syknął jeden z przybocznych. Venur zmierzył go zimnym spojrzeniem na dźwięk pogardliwego określenia używanego wobec członków Zakonu Światła. Mężczyzna odwrócił wzrok.

– Myślisz, że się ciebie boję, zakonniku? Zważ mnie Bannuh Mronoth. Przebywasz na moim terenie i tylko ja będę decydował jak długo tu będziesz. Pytam raz jeszcze, dokąd jedziesz? – zapytał nieco ostrzej młody szlachcic.

– Do granicy, panie. Nie mam żadnych spraw w twojej ojczyźnie.

– A cóż za sprawy możesz mieć w kraju olbrzymów? Nie zechcą z tobą nawet rozmawiać, cokolwiek byś od nich nie chciał.

– Proszę wybaczyć, to już moja rzecz – rzekł Venur.

Abgzardczyk zmarszczył brwi. Dał znak i natychmiast jeden z jeźdźców zajechał Venurowi drogę zmuszając do zatrzymania się.

– Dopóki przejeżdżasz przez moją ziemię twoje sprawy są moimi. Bardzo nieroztropnie byłoby w tej chwili okazywać mi lekceważenie. Tutaj nie ochroni cię zakon.

Jakby na potwierdzenie tych słów przyboczni opuścili ręce bliżej rękojęści.

– Przecież dałem ci odpowiedź, panie. Zmierzam do wschodnich krain wypełnić powierzone mi zadania.

– Do wschodnich krain, powiadasz. A mnie się wydaje, że szukasz czegoś tutaj i zaraz się dowiem czego. Sprawdźcie, co przewozi – polecił przybocznym.

Venur rzucił szybkie spojrzenie otaczającym go jeźdźcom. Teraz już byli czujni i gotowi dobyć broni. Jeden z nich zbliżył się, by sięgnąć do tobołków na prowadzonym koniu.

– Cóż to zwyczajnie posła przeszukiwać?! Nie sądziłem, że w Abgzardzie zapomniano już o sztuce dyplomacji. Króla Purytina zawsze miałem za bardzo oddanego tradycjom, a tu jego wasal podnosi rękę na

prawa posła!

Ręka przybocznego zawisła w powietrzu, na twarzy szlachcica także widać było wahanie.

– Posła? – zapytał z powątpiewaniem.

– Wiesz wszakże, panie, że rycerze zakonni służą królowi Enzetelowi. Jak mówiłem, jadę z ważnym zadaniem. Nie chciałbym być nieuprzejmy, rozumiem pańską troskę o swoje tereny, ale przez tę wymianę zdań tracę cenny czas. Wolałbym po powrocie do ojczyzny nie musieć wspominać o przyczynach spóźnienia.

Członkowie drużyny popatrzyli po sobie. Venur ryzykował. Istniała możliwość, choć niewielka, że wieść o zwolnieniu zakonu ze służby dotarła aż tutaj. Ponadto oczywiście nie posiadał królewskiego glejtu mogącego potwierdzić jego słowa. Bannuh milczał zaciskając wargi. Najwyraźniej rozważał, czy lepiej naruszyć tradycję, czy stracić w oczach własnych ludzi.

– Panie... – napomknął jeden z nich oczekując decyzji.

– Puście go, niech jedzie.

Natychmiast zjechali Venurowi z drogi.

– Dziękuję, panie. Życzę dobrego dnia – skinął głową Abgzardczykowi.

– Uważaj na siebie, zakonniku. Dalsza droga nie jest bezpieczna. Poza granicą nie panuje już taki porządek jak tutaj – rzekł Bannuh mierząc rozmówcę nieruchomym spojrzeniem.

– Dlatego to właśnie mnie powierzono to zadanie.

Jeszcze przez chwilę patrzyli za odjeżdżającym Venurem, nim wrócili na zamek. Dopiero wtedy rycerz odetchnął. Miał szczęście, że wyjechał do niego młodszy z Mronothów, jego ojciec z pewnością zażądałby okazania glejtu. Właściwie nie skłamał, z chwilą wyprawiania go w podróż zakon wciąż formalnie był w służbie króla. Kolejny raz podziałął sam widok tabardu oraz reputacja, jaką cieszył się Zakon Światła nawet poza granicami Nereveii. Venur z lekkim uśmiechem podjął przerwana podróż.

IV. Inni

"Nie złamie mnie słowo, ciała miecz nie zrani,

Od winy wolne serce, blask złocisty na nim (...)"

Teren już od jakiegoś czasu delikatnie się wznosił. Venur wraz z terytorium Abgzardu opuszczał żyzne zie-

mie. Coraz mniej rosło tutaj drzew, coraz bardziej kamieniste było podłoże i wkrótce miał wkroczyć na surowe równiny. Na południu widział łańcuchy gór Achne'mur, co znów obudziło wspomnienia. Spędził tam ładnych kilka lat szkoląc miejscowe milicje i walcząc z rozbójniczymi bandami grabiącymi wsie. Koczownicze dzikie plemiona, zarówno za czasów króla Nerevila, jak i teraz, były zmorą tamtejszych rejonów.

Zatrzymał się na krótki odpoczynek. W oddali wieże zamku Kasmajan zdawały się patrzeć za nim, czy rzeczywiście podąża obiecaną drogą. Venur napoił konie i samemu także zjadł posiłek rozmyślając. Zastanawiało go co też zastanie w krainie obcego ludu, tych skrytych, przywiązanych do tradycji stworzeń.

Pomimo wielu lat burzliwej wspólnej historii, ludzie wcale nie wiedzieli dużo o olbrzymach. Ich dorosły przedstawiciel osiągał wzrost do nawet trzech metrów, dysponując przy tym siłą przewyższającą najtęższych ludzkich mocarzy oraz równie imponującą wytrzymałością. Rekompensowały im one brak wyposażenia i bitewnego kunsztu, o czym podczas wojny boleśnie przekonali się Nereveiczyccy. Za to dla każdego z olbrzymów bardzo istotny był honor. Podobno nigdy nie uciekali się do kłamstwa, co było bardzo pomocne zważywszy na i tak już utrudnione porozumiewanie się z nimi. Mówili językiem niewiele różniącym się od ludzkiego – niektórzy spośród uczonych sugerowali nawet, że nasza mowa pochodzi od nich – ale mieli odmienne zwyczaje, historię i tradycję. Powodowało to w przeszłości wzajemne niezrozumienie. Żyli bardzo długo, mówiono, że nawet do kilkuset lat, a wiek określał ich pozycję w hierarchii klanu. Nawet przed wojną nie byli zbyt gorliwi w nawiązywaniu kontaktów z sąsiadami, po niej zaś odseparowali się całkowicie. Co ciekawe, dotyczyło to również Abgzardu i innych królestw, z którymi nie krzyżowali mieczy, jakby traktowali wszystkich ludzi jako jeden lud. Co oczywiste, nie znali też Światła, a jego moc spoczywająca na Nereveiczykach nie wydawała się budzić w nich należnego respektu.

Venur ruszył w dalszą drogę. Słońce wisiało już coraz niżej, obawiał się, że może nie zdążyć na miejsce przed zmrokiem. Wolałby nie nocować tutaj pod gołym niebem. Dróżka, której się trzymał wyglądała na nieuczęszczaną, ale nigdy nic nie wiadomo.

Z ulgą powitał koniec wznoszącego się terenu. Przed nim rozciągała się aż po horyzont porośnięta trawą i niewysokimi drzewami równina. Podążał nią na wschód, aż zaczęło się ściemniać, i wtedy właśnie dojrzał odległy blask ogniska. Popędził konie, podróż dobiegła kresu. Światłu niech będą dzięki.

Osada olbrzymów, podobnie jak ta, którą miał okazję zobaczyć przed laty, była prymitywna. Właściwie to wyglądała jak obóz koczowników, gdyż składał się na nią krąg ogromnych namiotów z placem pustej przestrzeni w centrum oraz prostymi zagrodami dla zwierząt nieco na uboczu. To właśnie na owym placu płonął ogień. W zapadającym zmroku widoczne były tylko sylwetki potężnych postaci zasiadających wokół niego. Słyszeć było gwar tubalnych głosów, w powietrzu niósł się zapach pieczonego mięsa i zwierzęcych skór. Przyjazd nieznajomego jeźdźcy nie wzbudził spodziewanej reakcji. Kilku rzuciło badawcze spojrzenia przybywającemu Venurowi, lecz nikt nawet nie przerwał rozmowy. Rycerz zeskokczył z konia zastanawiając się z którym z nich powinien rozmawiać. Ruszył ku grupie, gdy nagle stanął jak wryty na widok wyłaniającego się z mijanego właśnie wnętrza namiotu człowieka.

– Pozdrawiam cię! Jam jest Kachik z klanu Kamiennej Pięści – zagrzemiał nieznajomy.

Gdy wszedł w krąg światła bijący od ognia ukazała się jego szeroka uśmiechnięta twarz okalana gęstą rozczochraną brodą niemal niedostrzegalnie przechodzącą w równie niechlujne włosy na głowie. Nosił luźną tunikę bez rękawów sięgającą kolan, nie miał na sobie butów. Był wzrostu Venura, a zatem około stu osiemdziesięciu centymetrów, lecz szerszy w barach i solidniejszej budowy; grubo ciosany, wręcz

nieproporcjonalny, pomyślał zdumiony Venur i nagle przyszło olśnienie. Jego rozmówca nie był człowiekiem, lecz najwyraźniej bardzo młodym olbrzymem. Rysy twarzy miał bardziej ludzkie, nie tak pomarszczone jak u starszych towarzyszy.

– Witaj. Venur Lisyllwar z Nereveii, do usług – odrzekł pamiętając o tutejszych zwyczajach wymagających przedstawienia się z imienia i miejsca pochodzenia. Pohamował odruchową chęć ukłonienia się. U olbrzymów w ten sposób okazuje się szacunek, ale tylko przeciwnikowi w walce.

– Nereveii? Nigdy nie słyszałem o takim klanie. Gdzie leżą wasze pastwiska? – Kachik zwyczajem swego ludu nieco inaczej akcentował, gromkim głosem mówił powoli jakby z namysłem.

Niesamowite. Rycerz pierwszy raz miał okazję porozmawiać z olbrzymem. Ten był przyjaźnie nastawiony, zachowaniem bardziej przypominał człowieka, niż swoich pobratymców z gór Achne'mur ignorujących ludzkich sąsiadów. Ciągłe uśmiechnięty wpatrywał się w Venura z wyraźnym zaciekawieniem.

– Przybywam z dalekich ziem na południowym zachodzie. Wysłano mnie z pokorną prośbą do waszego...

– A, wiem! To ten lud, co zamieszkuje w kamiennych domach. Jesteście słabi, niscy, dosiadacie kopytaków i wyglądacie jak kobiety z tymi bezwłosymi twarzami – rozbawiony Kachik rąbnął się w udo. – Na topór mego ojca, ależ nas gość odwiedził! Chodź prędko, Venurze Lisyllwar, zapraszam do mnie. Od niedawna mam własny namiot, wkrótce przejdę próby i będę dorosły! – dodał z dumą. Nie czekając na odpowiedź uchylił połę i wrócił do ciemnego wnętrza.

A to ci dopiero! – pomyślał Venur. Co prawda został właśnie nazwany słabym i zniewieściałym – olbrzym raczej nie chciał go obrazić, jedynie bez ogródek powiedział, co myśli – ale przynajmniej znalazł tu kogoś chętnego do rozmowy. Przywiązawszy konie, podążył za nowo poznanym towarzyszem. Namiot był ogromny, dostosowany do rozmiarów właściciela, rozciągnięty na szkielecie z drewnianych pali. Wnętrze cuchnęło starymi skórami, dymem i potem. Słabo oświeślały je dwie świece ułożone na płaskim głazie, mającym najwyraźniej pełnić rolę stołu, ukazując pośrodku wygasłe palenisko z zawieszonym nad nim sporym garem. Po lewej stronie piętrzyły się stosy worków przykryte jakąś zwierzęcą skórą, nico dalej zaś rozłożone było posłanie ze słomy, na którym siedział młody olbrzym.

– Siadaj, przybyszu. Napijesz się *sumyku*?

Nie czekając na odpowiedź, Kachik podał mu wielki gliniany dzban. Venur słyszał o tym kwaśnym wytwarzanym ze sfermentowanego koziego mleka napoju. Podanie go gościowi stanowiło według zwyczaju gest przyjaźni. Nie chcąc urazić gospodarza pociągnął łyk z nieporęcznego naczynia.

– Ładnie mieszkasz, Kachiku. Niczego ci tu nie brakuje – rzekł starając się nie krzywić.

– Pewnie, że brakuje i to najważniejszego! Kobiety! – olbrzym parsknął donośnym śmiechem. – Ale to już niedługo, muszę tylko przejść próby.

Rycerz uśmiechnął się uprzejmie. Chciał już usiąść przy stosie worków, gdy nagle leżące na nich skóry ożyły i zawarczały wściekle. Zaskoczony Venur odskoczył dobywając miecza. Spory kudłaty pies stanął przed nim z obnażonymi zębami.

– Wicher, przestań natychmiast! Co to za zachowanie, na gościa się rzucać?! Wracaj na posłanie! – zrugął zwierzaka gospodarz.

Kachik stanął nad nim czekając, aż pies spełni polecenie, a spełnił niemal natychmiast. Przestał warczeć i ułożył się na swoim miejscu uciekając wzrokiem przed pełnym reprimendy spojrzeniem pana.

– Nie wiedziałem, że macie psy.

– Ano, mamy. Któż by nam bydło zaganiał, gdyby nie one? Zabiegał bym się na śmierć po tych równinach. Ale cóż to za oręż! Venurze Lisyllwar, czy mogę...?

Zafascynowany olbrzym przypatrywał się błyszczącej w świetle świec długiej klindze. Venur podał mu broń. W dużej dłoni młodzieńca miecz wyglądał na śmiesznie mały. Obracał ostrze na wszystkie strony, badał głowicę, ostrożnie machnął nim kilka razy w powietrzu bez trudu trzymając jednorącz. Pokiwał kudłatą głową z podziwem.

– Kurza twarz! Mali jesteście, ale kujecie fest. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mój nasiek to się nie umywa, chociaż zarabiałem nim już cztery wilki, dwie pумы i niedźwiedzia! – wyprężył dumnie szeroką pierś, ale jego uśmiech przygasł, gdyż nie znalazł u gościa oczekiwanego poklasku.

– Nasiek? – spytał tylko rycerz.

– Za młody jestem, żeby bić się czymś poważniejszym. Ale sam go zrobiłem, spójrz!

Na gwoździu przybitym do jednego z słupów wisiała długa gruba laga. Kachik podał ją rozmówcy. Był to solidny podłużny kawał drewna w ciemnym kolorze, jakby nadpalony, zaopatrzony we wbite weń gwoździe i ostre krzemienie oraz zapętłony sznur na końcu rękojeści, który można było owinąć wokół nadgarstka. Niewątpliwie groźna, lecz ciężka i słabo wyważona była to broń. Miała jednak tę zaletę, jak każda broń obuchowa, że nawet najtęższy pancerz nie chronił do końca przed miażdżącym kości uderzeniem. A już z pewnością nie przed zadaniem z siłą olbrzyma.

– Gwoździe i kamienie wbija się jeszcze w młode drzewko, a gdy zarosną całość się ścina, obrabia, osusza i impregnuje w ogniu. Potem już tylko łać! A ty, przyjacielu, ile zabiłeś tym swoim ostrzem?

– Ile czego?

– No zwierząt! Wilków, niedźwiedzi, czy co was tam nęka w waszych stronach – wyjaśnił zaniepokojony olbrzym.

– Miecz służy nam do walki, nie do polowań. Tylko szlachta, wybrana grupa spośród naszego ludu, może nosić taki oręż.

– To z kim w takim razie walczyacie?

Pocziwe oblicze Kachika wyrażało zdziwienie. Venur upomniał się w myślach, by nie zapominać, z kim ma do czynienia. Tak wielu rzeczy jego rozmówca nie wiedział, szkoda byłoby zrazić go do siebie jakimś nieopatrznym słowem.

– Czasem pojawiają się wśród nas ludzie nieprzestrzegający naszych praw. Wy też macie swoje zasady,

według których żyjecie, prawda?

– No... tak.

– Takimi mieczami służyliśmy ojczyźnie oraz Światłu. Bronimy tego, co dla nas najważniejsze – wyjaśnił odbierając swoją własność i wręczając olbrzymowi jego łęgę. Kachik nie spuszczał tęsknych oczu z ostrza, dopóki nie zniknęło w pochwie.

– Czyli bijecie się... między sobą? Chodzi ci o to, że się pojedynkujecie?

– Czasami owszem. Szlachetnie urodzeni mają takie prawo.

W tradycji olbrzymów walki jeden na jednego spełniały jednak nieco inną rolę, jak pamiętał Venur. Rzadko do nich dochodziło, służyły rozstrzygnięciu sporów, także o przywództwo w klanie. W przeciwieństwie do ludzkich zwyczajów, wyzwany olbrzym nie mógł odmówić, a starcie nie kończyło się przy pierwszej krwi, lecz dopiero, gdy któryś z oponentów poddał się, nie był zdolny do kontynuowania walki lub zginął.

– A Światło, o którym wspomniałeś, to wasz wódz?

Venur uśmiechnął się.

– Ono przewodzi mojemu... hmm... klanowi. Nie ma go pośród nas, nie można go dotknąć, ale czuwa nad nami i pomaga nam w potrzebie.

– To tak jak nasi przodkowie! Odeszli już do Wielkiej Góry, skąd patrzą na nas, dlatego musimy zachowywać się godnie. Ojciec zawsze mi przypomina, że kiedyś przed nimi stanę i lepiej żebym wtedy miał się wtedy czym pochwalić. Gołodupców nie wpuszczają na Górę, jak mawia.

– Tu się zgadzamy przyjacielu, mężczyznę poznaje się po jego czynach, po tym jak wypełnia swe powinności.

– "Czyny", "powinności"! Jesteś sztywny, Venurze Lisyllwar, jak kuśka Wichra na wiosnę! – Olbrzym ryknął śmiechem. Wielką łapą energicznie klepnął rycerza w ramię, aż nim zakołysało – Ale lubię cię, pasowałbyś tutaj, gdybyś trochę urosł i nabrał męskiego owłosienia.

Patrząc na rumianą, roześmianą od ucha do ucha twarz Kachika, Venur żałował, że nie wszyscy przedstawiciele jego ludu są równie przyjacielscy (pomimo dość prostackiego sposobu bycia). Mogliby się od ludzi wiele nauczyć, rozwinąć się. Niewątpliwie wielki potencjał tkwił w olbrzymach, musieliby tylko dojrzeć do cywilizacji i odrzucić zabobony.

– To właśnie powinności przywiodły mnie na te ziemie. Przysłał mnie mój pan, abym spotkał się z waszym wodzem. Muszę z nim pilnie pomówić.

– Światło cię przysłał? Mówiłeś, że nie można z nim rozmawiać – zauważył sceptycznie młodziak.

– Masz rację – zaśmiał się rycerz – Jesteś bardzo uważnym słuchaczem, Kachiku. Widzisz ten tabard?

– Ładny. To sztandar twojego klanu?

– Można tak powiedzieć. Jestem członkiem Zakonu Światła, jednym z wielu jego sług. My też mamy swojego... wodza, który nas prowadzi, abyśmy podążali za Światłem. Wybrał mnie do tego zadania. Czy mógłbyś przedstawić mnie wodzowi waszego klanu? Przywiozłem też podarunki od mojego ludu.

– Tak? Jakie?

– Pięć wspaniałych mieczy, podobnych do mojego, lecz jeszcze lepiej wykonanych.

Kachik, choć zbudowany jak dorodny mąż, ucieszył się niczym dziecko.

– Cudownie, Venurze Lisyllwar! Wódz Og będzie zadowolony. To wielki wojownik. Choć jego topór zawsze uważałem za najwspanialszy oręż, przyznaję, że do waszego się nie umywa. Tylko nie powtarzaj mu tego! A teraz usiądź wreszcie, przyjacielu, musisz być zmęczony po podróży. Mam jeszcze trochę stawy w garnku, poczęstuj się.

– Dziękuję ci za hojną gościnę – powiedział Venur, choć rzeczywiście był zmęczony i głodny – ale, czy mógłbyś od razu zaprowadzić mnie do wodza? Powodzenie mojej sprawy zależy w znacznej mierze od czasu.

– Teraz? Zapomnij! – zdziwił się olbrzym.

– Dlaczego? Przecież widziałem twoich ziomków przy ogniu, jeszcze nie śpią.

– Po zmroku nie rozmawia się o takich sprawach. Staniesz przed wodzem rano.

– Kachiku, to naprawdę nie może czekać.

– Obrazisz go zakłócając mu odpoczynek. Czyżbyście mieli aż tak odmienne zwyczaje? Kto to widział paktować po zachodzie słońca? Wieczorem jest czas na śpiewanie pieśni i opowiadanie historii, a nie zawieranie umów. Będziesz rozmawiać rano.

Venur nie naciskał dalej. Rzeczywiście lepiej było poczekać, niż już od progu zniechęcić do siebie gospodarza przez naruszanie ich porządku dnia.

Usiedli zatem. Olbrzym poczęstował go rzadkim gulaszem z zająca mocno przyprawionym jakimiś aromatycznymi ziołami. Rycerz zrewanżował się odrobiną wina ze swojego bukłaku, co jeszcze bardziej rozwinęło język gadatliwemu młodzianowi. Bardzo zasmakował mu napitek, jego lud nie znał alkoholu.

Przeszedł już, jak opowiadał, dwie z czterech prób dorosłości – własnoręcznie wykonał swą pierwszą broń i postawił namiot. Wkrótce wyruszy w góry zabierając ze sobą jedynie ów nasiek, gdzie przez miesiąc będzie żył samotnie. Będzie to test męstwa, po powrocie zaś czeka go jeszcze sprawdzian siły. Kachik stanie do zapasów z każdym dorosłym mężem w klanie po kolei. Oczywiście zawiążą go w supeł i wytrą jego mordą rosę z trawy – stwierdził pogodnie – ale chodziło o to, żeby wytrzymać do końca. Potem zostanie uroczyście przyjęty do grona mężczyzn, a co za tym idzie, będzie mógł posiadać kobietę. Miał już jedną na oku, na imię jej było Bikucha i miała najpiękniejsze włosy ze wszystkich niewiast. Venur, uznając ten temat za bezpieczny, opowiedział towarzyszowi o pannach, które adorował za młodu, nim wstąpił do zakonu. Olbrzymowi nie mieściło się w rozczochranej głowie jak można dobrowolnie na resztę życia zrezygnować z kobiet. Nic dziwnego, że nie było wolą Światła im się objawić, stwierdził w myślach zakonnik.

Rozmowa przebiegała w miłej atmosferze, wypite wino pomogło przewyciężyć różnice, dzięki czemu dowiedział się nieco o tutejszych tradycjach. Został zaproszony do namiotu, zyskał zatem status gościa klanu. Nikt nie mógł uczynić mu krzywdy, ani tknąć jego własności bez pytania, dopóki nie naruszał zwyczajów. Obowiązkiem zapraszającego było dobrze go ugościć. Jako obcy nie był jedynie dopuszczany do wspólnego ogniska (chyba, że za zgodą wodza), które stanowiło tutejszy odpowiednik ludzkich karczm. Przy ogniu toczyło się życie towarzyskie, rozmawiano o mijającym dniu, śpiewano; tutaj też zacieśniały się rodzinne więzy, gdy starsi wprowadzali młodych w historie ich przodków. Grubym nietaktem okazałaby się próba rozmowy wtenczas o ciężącym na rycerzu zadaniu. Wszelkie ważne sprawy zajmowały olbrzymy za dnia, po zmroku zaś nastawał czas odpoczynku, zabawy oraz rytuałów ku czci bohaterów z Wielkiej Góry – miejsca, do którego, jak wierzono, najmężniejsi spośród nich odchodzą po śmierci.

Kachik, co interesujące, nie chował urazy o historyczny konflikt zbrojny z ludźmi. Być może było to spowodowane jego młodym wiekiem; przyszedł na świat zaledwie ćwierć wieku temu, podczas gdy wódz Og liczył sobie ponad sześćset lat. Niebawem, pomyślał Venur. Król-Wojownik Nerevil jeszcze się nie narodził, a on stąpał już po tej ziemi!

Kachik, jako dobry gospodarz, zaoferował swemu gościowi własne posłanie, sam zaś ułożył się obok psa. Venur nie śmiał odmówić, choć śmierdząca sterta siana nie była szczególnie zachęcająca. Ściągnął tabard i kolczugę, która podobnie jak oręż zaciękała olbrzymu, po czym udali się na spoczynek. Niestety sen przerywało mu często głośnie chrapanie zwierzęcia, a także jeszcze głośniejsze jego pana. Rankiem nalegał na jak najszybsze udanie się do wodza, ale gospodarz z nic nie chciał wypuścić go bez posiłku. W końcu, gdy uznał, że gość zjadł wystarczająco dużo, Kachik głośno beknął, wstał i kazał mu iść za sobą.

Po wyjściu z ciemnego namiotu Venur zmrużył zaatakowane światłem słonecznym oczy. Zaraz jednak blask przygasł, bo przesłoniła go potężna postać, która najwyraźniej na nich czekała. Ten olbrzym z pewnością był dorosły. Przerastał ich o dobre pół metra i przytłaczał masywną sylwetką. Ubrany był w tunikę podobną do tej Kachika i również nie nosił butów. Jego włosy opadały na mocarne bary, długa brązowa broda zakrywała pierś. Skrzyżował na niej silnie umięśnione ramiona w postawie wyczekiwania. Te ręce mogłyby złamać człowieka na pół, pomyślał z podziwem Venur, a wyraz pomarszczonej twarzy ich właściciela wskazywał, że mógł właśnie rozważać taką możliwość. Kachik wyprostował się na jego widok.

– Ojcie – rzekł stając przodem i patrząc mu w twarz. Obracanie się bokiem do rozmówcy bądź uciekanie wzrokiem było uznawane za niegrzeczne.

Rycerz uczynił to samo.

– Jestem Venur Lisyllwar z Nereveii – przedstawił się czyniąc zadość formalnościom.

– Gohul z klanu Kamiennej Pięści. – olbrzym popatrzył na przybysza zaledwie tyle czasu, ile wymagało wypowiedzenie tych słów. Potem całą uwagę skupił na synu.

– Dlaczego go zaprosiłeś? – zadudnił mocnym niskim głosem.

– Chciałem ugościć przybysza.

– Ugościłeś. Teraz niech jedzie w swoją stronę.

Kachik nerwowo podrapał się po gęstej czuprynie.

– Ojcie, Venur Lisyllwar przybył paktować z wodzem.

Gohul zmarszczył gęste brwi, przez co jeszcze bardziej pogłębiły się koleiny przecinające jego oblicze.

– Chcą zadośćuczynić? – spytał po chwili milczenia.

– Gohulu, przybywam w przyjaznych zamiarach w imieniu królestwa Nereveii – odezwał się rycerz. – Z wyrazami szacunku przysłano mnie do wodza Oga, gdyż bardzo zależy nam na współpracy z waszym klanem. Jeśli to możliwe chciałbym prosić, aby był łaskaw mnie wysłuchać.

Olbrzym, jakby nic z tego nie usłyszał, nieruchomy jak góra dalej patrzył wyczekująco na coraz bardziej zaaferowanego syna.

– Nie wiem. Chciałby stanąć przed wodzem. Przyniósł ze sobą dary – Kachik wskazał na owinięte w wór miecze.

– Zapytaj, czy to ma być zadośćuczynienie.

– Możesz mówić wprost do mnie, olbrzymie. Nie jestem twoim wrogiem i nie uczyniłem ci żadnej krzywdy – rzekł nieco zdziwiony Venur.

Gohul w dalszym ciągu go ignorował, ale nagle poczerwieniał na twarzy. Kachik zwrócił się do rycerza.

– Mój ojciec chce wiedzieć po co przybyłeś.

– Dlaczego nie rozmawia ze mną? I za co mam zadośćuczynić? Naruszyłem jakieś wasze prawo?

Młody olbrzym był wyraźnie zakłopotany sytuacją.

– Po prostu powiedz dlaczego chcesz podarować klanowi te miecze.

– Znani jesteście jako przedni wojownicy, z pewnością cenicie dobry oręż. To gest dobrej woli ze strony królestwa.

Kachik powtórzył ojcu te słowa, choć ten stał tuż obok i niewątpliwie je słyszał. Venura zaczynała irytować ta absurdałna sytuacja. Gohul przez chwilę rozważał słowa syna i w końcu skinął wielką głową.

– Przedstawię sprawę wodzowi – powiedział i ruszył między namioty.

Gdy poszli za nim, Venur zapytał cicho młodego towarzysza:

– Możesz mi wyjaśnić w czym rzecz?

– Wielu z nas nie ufa waszemu ludowi, bo kiedyś z nami walczyliście.

– To było bardzo dawno temu; nie tylko mnie, ale nawet mojego dziadka nie było jeszcze wtedy na świecie. Nie jestem waszym wrogiem.

– Wiem, Venurze Lisyllwar – odparł szeptem Kachik. – Cóż z ciebie za przeciwnik, kiedy mógłbym położyć cię jednym ciosem?

Zdumiony rycerz i tym razem nie doszukał się nawet śladu złośliwości na twarzy rozmówcy. Nie zdążył nic na to odrzec, bo właśnie zatrzymali się przed największym ze wszystkich namiotów. Gohul wszedł do środka poleciwszy im czekać. Przechodzące nieopodal olbrzymy obrzucały Venura badawczym spojrzeniem, bardziej jednak przyglądały się Kachikowi, jakby pytając go milcząco co to ma znaczyć. Czuł się trochę jak dziecko w tym kraju wielkich istot zarówno ze względu na swe rozmiary, jak i na lekceważące traktowanie. Sporo pracy czekałoby zakon, gdyby podjął się ucywilizowania tych ziem, pomyślał.

Po kilku minutach ojciec Kachika uchylił połę i pozwolił Venurowi wejść. Młodzieniec, chciał już odejść, lecz powstrzymał go.

– Ty też wejdź, synu. Może wreszcie się czegoś nauczysz.

Wnętrze było znacznie przestronniejsze niż namiot młodzika. Poły obu wejść odsunięto, aby do środka wpadało światło. W blasku poranka Venur ujrzał sporo drewnianych skrzyń i worków ustawionych po bokach dużego kamiennego tronu wyłożonego skórą. Rozłożony całą imponującą masą siedział na nim najpotężniejszy olbrzym, którego dane mu było zobaczyć w życiu. Pierwszym, co zwracało uwagę w jego wyglądzie była srebrzystoszara broda sięgająca aż do pasa, a prawdopodobnie dużo dalej gdyby ją rozpuścić, powiązano ją bowiem w kilka warkoczy przypominających cumy okrętowe. Podobnie było z włosami na głowie, których jeden gruby sznur ginął gdzieś za plecami. Choć skórę miał żółknietą i upstrzoną starczymi plamami, widać było napinające się pod nią mocarne mięśnie. Wodza – bo rycerz nie miał wątpliwości, że to przed nim właśnie stoi – nie wyróżniał wśród innych żaden element stroju, poza metalową bransoletą na prawym przedramieniu.

Venur wystąpił naprzód. Gohul i Kachik pozostali nieco z tyłu.

– Jestem Venur Lisyllwar, rycerz Zakonu Światła Króla-Wojownika Nerevila z Nereveii – dumnie wyprężony z tabardem na piersi przedstawił się uroczyście.

Wiekowa, dosłownie, twarz wodza wyglądała jakby ktoś wykuł ją w chropowatej żółtawej skale. Widać było odciski na niej piętno setek przeżytych lat, niezliczonych godzin wystawienia na słońce, deszcz, mróz i upał. Tylko wyblakłe oczy – wciąż pozostające żywe i ruchliwe, pomimo tego, że widziały z pewnością tak wiele – zdawały się nie pasować do tej fizjonomii. Starsze niż Nereveia patrzyły teraz śmiało na jej wysłannika.

– Og z klanu Kamiennej Pięści. Witaj w moim namiocie, przybyszu.

Ten głos także przypominał skałę: był jak dźwięk tarcia po kamieniu, a jednocześnie niósł ze sobą wyraźnie wyczuwalną siłę, władczość właściwą każdemu urodzonemu przywódcy.

– Dziękuję. Pragnę przekazać pozdrowienia i wyrazy szacunku dla ciebie, czcigodny wodzu i całego twojego klanu. Pozwól proszę wręczyć sobie te dary, które nasz wielki mistrz Aledyian Trenhoborg przesyła w dowód uznania dla waszych wojowniczych tradycji.

Og skinął głową i Kachik natychmiast podszedł bez wysiłku trzymając w jednej ręce pakunek dwuręcznych mieczy. Wódz wydobyl jeden i oglądał z uwagą.

– To znakomity oręż, Venurze Lisyllwar. Wielkie rzeczy potrafią wytworzyć małe dłonie twoich ziomków. Możesz teraz przedstawić swoją sprawę – odłożył na bok podarunek i rozsiadł się wygodniej na tronie.

– Jak już wspomniałem, wasz lud znany jest ze swej bojowej sprawności. My, ludzie, cenimy waszą siłę i niezłomność, a także honor. Dlatego, jako przedstawiciel podobnego wam klanu wojowników, mój pan pragnie zwrócić się z uprzejmą prośbą, aby któryś z waszych mężów zechciał pójść wraz ze mną do Nerevei i oddać przysługę mej ojczyźnie, która jest w potrzebie.

– A cóż to jest za potrzeba, że aż tutaj konieczne było za nią podążać?

Proszę, jaka mowa z ust dzikiego władcy, pomyślał Venur. Na głos zaś rzekł:

– My również żyjemy honorowo, dotrzymujemy umów i nie kalamy się kłamstwem. Pojawił się jednak w królestwie człowiek, który nie respektuje naszych zwyczajów. Osobnik ów jest podstępny, z łatwością omamił wielu z nas, a ma w sztuce tej pewną nadzwyczajną biegłość, której nie sposób się oprzeć. Do tego stopnia, że zaczął poważnie szkodzić krajowi działając dla własnej korzyści.

– Czemu go więc nie wygnacie? Jest sam, a was wielu.

Venur zastanawiał się jak wiele powinien ujawnić olbrzymowi. Oni raczej nie zagrażą królestwu, ale gdyby takie wieści jakimś sposobem zawędrowały na dwór Abgzardu...

– Oczywiście podjęliśmy taką próbę. Manipulacje tego człowieka sięgnęły jednak samego naszego władcy, a każdy kto przychodzi po jego głowę pada ofiarą tajemniczej siły.

– Więc przychodzisz prosić Kamienną Pięść o pomoc – ni to stwierdził, ni to zapytał wódz.

– Po to przybyłem.

– Proś zatem.

Rycerz uniósł brwi. Raz jeszcze nakazał sobie w myśli nie zapominać o odmienności rozmówcy.

– W imieniu Królestwa Nereveii zwracam się z prośbą do ciebie, czcigodny Ogu, wodzu klanu Kamiennej Pięści, abyś zechciał wspomóc moją ojczyznę. Jako, że znana jest w świecie legendarna wytrwałość i hart ducha waszych wojowników, proszę, aby jeden z nich wyruszył ze mną w celu pojmania wspomnianego przestępcy. Z pewnością jego podstępne sztuki nie zdołają złamać siły woli olbrzyma, tak jak łamią naszą. Spełniając mą prośbę wyświadczysz królestwu niewysłowioną przysługę, a nasz król, zapewniam cię, Ogu, nie zapomina o swoich sojusznikach. Jeśli wyprawa zakończy się powodzeniem, od tego dnia wszelkie wyroby naszych rzemieślników będą dostępne dla twego wspaniałego klanu. Pan mój uprzejmie prosi o szybką decyzję, z każdą chwilą bowiem Nereveia ponosi straty z rąk zdrajcy.

Po tych słowach w namiocie zapadła cisza. Wyraz twarzy i nieruchomych oczu Oga nie zmienił się ani na jotę podczas przemowy. Cokolwiek myślał, doskonale potrafił to ukryć. Siedząc nieruchomo milczał na tyle długo, że zdezorientowany Venur musiał ze wszystkich sił powstrzymać się od pytań. Wreszcie przemówił, a głos jego także nie uległ zmianie.

– Rozważyłem twą prośbę, Venurze Lisyllwar.

Bardzo dobrze, pomyślał zakonnik. Obserwując niespieszne tutejsze życie spodziewał się raczej odesłania go do namiotu Kachika i dłuższego oczekiwania na odpowiedź.

– Jestem wdzięczny za dary, które przyniosłeś. To bardzo dobry początek waszego zadośćuczynienia. Przekaż swojemu wodzowi moje podziękowania i wyrazy szacunku. Gdy będzie gotów uroczyście złożyć przeprosiny, niechaj przybywa natychmiast. Poły mego namiotu zawsze pozostaną dla niego szeroko otwarte.

– Co...?! – nie wytrzymał rycerz.

– Oto moja odpowiedź: nim to nie nastąpi, żaden członek Kamiennej Pięści nie udzieli pomocy twojemu ludowi. Dziękuję za twe przybycie, Venurze Lisyllwar. Możesz zostać tu do jutra, jeśli potrzebujesz jeszcze odpocząć po podróży.

Venur nakazał sobie spokój. Nie chciał zabrzmieć zbyt ostro, więc odczekał kilka sekund zanim przemówił panując już nad głosem.

– Czcigodny wodzu, twoja decyzja jest dla mnie niezrozumiała. Czy uraziłem cię czymś przychodząc tutaj?

– Ależ nie. Widzę, że znane ci są nasze obyczaje. Doceniam to.

– Dlaczego więc odmawiasz?

– Jesteś zdziwiony, Venurze Lisyllwar – zauważył olbrzym. – Nie możesz wymagać ode mnie udzielenia pomocy nieprzyjacielowi. Twoja ojczyzna z pewnością także nie ma takiego zwyczaju.

– Widzimy się pierwszy raz, Ogu. Nie wyrządziłem ci nigdy żadnej krzywdy. Ani ja, ani Nereveia nie jesteśmy do was wrogo nastawieni.

– Toczycie z moim ludem wojnę.

– Dlaczego tak mówisz? Wojnę toczyliśmy dwieście lat temu i zakończyliśmy ją traktatem pokojowym. Ja wiem to z ksiąg, ale ty, wodzu, z pewnością osobiście brałeś udział w tym wydarzeniu.

– Wtedy zaprzestaliśmy walk.

– Otóż to. Czy więc...

– Ale nie doszło do przeprosin. Wojna się nie zakończyła – dokończył Og.

Venur nie wierzył w to, co słyszał. Potężny olbrzym mówił wszystko to jednostajnym, typowym im niespiesznym tonem jakby tłumaczył uczniowi, jednak rycerz im dłużej z nim rozmawiał, tym mniej go rozumiał.

– Chcesz... przeprosin? Nie pomożesz mi, bo dwa stulecia temu nasz król nie przeprosił za przegraną przez was wojnę? Proszę o wybaczenie, ale to nie brzmi rozsądnie.

– Gdy zbójca napada pod osłoną nocy nikt wtedy nie mówi, że wygrał ze swą ofiarą. Nie my napadliśmy i

nie my utraciliśmy honor.

– Osądem wielce niesprawiedliwym jest porównywanie wybrańców Światła do zbójców. Możecie czuć się pokrzywdzeni, gdyż utraciliście część swych ziem, rozumiem to. Ale za wojny się nie przeprasza, Ogu. Każdy lud dąży do swojego dobra, czasem przeciwko innym, więc spory niekiedy rozstrzyga się słowem, a niekiedy żelazem.

– Macie się za lud honorowych wojowników. Honorowy mąż nie wbija żelaza w plecy – po raz pierwszy w głosie wodza pojawiła się ostrzejsza nuta. Venur także zaczął tracić cierpliwość.

– A komu mieliśmy oficjalnie wypowiedzieć wojnę? Gdybyście byli zdolni zorganizować się w państwo, moglibyśmy się układać, ale nie macie króla, żyjecie jak dzicy. Nie potrafilibyście nawet odczytać listu od naszego władcy.

– Rozumiemy nawzajem naszą mowę, to wystarczy, by rzucić wyzwanie do walki. Tak nakazuje honor wojownika. Nawet pies, nim rzuci się z zębami, najpierw warczy. Ludzie najechali nasze ziemie bez słowa. Jeśli chcesz czegokolwiek ode mnie, Venurze Lisyllwar, pierwszej twój wódz musi nam za-
dośćuczynić.

– Czy sama moja obecność tutaj nie jest dowodem dobrej woli? Czy te dary nim nie są? Gdybyśmy byli wam nieprzyjaźni, nikt by mnie nie przysłał przed twe oblicze.

– Potrzeba cię tu przysłała, nie przyjaźń.

Venur westchnął bezsilnie. Spodziewał się oporu ze strony olbrzymów, lecz nie z tak irracjonalnych przyczyn. Plan mistrza od początku skazany był na niepowodzenie.

– Rozumiem uraz, który nosicie. Odebraliśmy klanom terytorium, a wraz z nim życia wielu wojowników. Żyjecie wielokrotnie dłużej niż my, ludzie, tym boleśnieszka była to strata. Przed dwoma wiekami potrzebowaliśmy waszych ziem; dziś przebiega tamtędy ważny szlak handlowy z południem. Dla królestwa była to... polityka, dla was postępowanie niegodne. Staram się spojrzeć na tę sprawę z waszej strony i dostrzegam pewien sens w takim rozumowaniu. Proszę teraz, abyś i ty przez moment zechciał postawić się na moim miejscu. Mój kraj jest zagrożony. Człowiek uzurpujący sobie władzę najprawdopodobniej prowadzi go do wojny z sobie tylko znanych powodów. Dojdzie do zniszczeń i śmierci, rabunków i gwałtów, a, co najgorsze, królestwo sprzeniewierzy się swym szlachetnym zasadom najeżdżając sojuszników. Już teraz wprowadzane w państwie zmiany są bardzo niekorzystne, konsekwencje zaś dalszych poczynań uzurpatora będziemy ponosić przez dziesięciolecia. Dlatego cenny jest każdy dzień, każda godzina. Nie mam wątpliwości, że jeżeli tylko wyciągniesz do nas pomocną dłoń w tej trudnej chwili, przekonam króla Enzetela, wolnego już od sączonego przez zdrajcę jadu, by naprawił wyrządzone wam krzywdy, może nawet zwrócił zajęte ziemie. Przysięgałem na Światło bronić korony ze wszystkich sił dopóki żyję, dlatego już nie proszę, Ogu... ja błagam, abyś przemyślał swoją decyzję.

Podniesiony głos lekko mu drżał, gdy mówił te słowa, ale nie zrobiło to widocznego wrażenia na rozmówcy. Oblicze olbrzyma pozostawało nieprzeniknione, z mowy jego ciała także nie sposób było nic wyczytać. Czy ta rozpaczliwa przemowa skruszy jego obojętność? Venur myśląc o tym patrzył mu prosto w oczy. W milczeniu patrzyli obaj, kruchy człowiek i mocarny, po wielokroć starszy olbrzym.

– Jesteś człowiekiem wielkich namiętności, Venurze Lisyllwar – rzekł ten ostatni po krótkim namyśle. –

Ulegasz im i przez to nic nie zrozumiałeś.

Choć zawrzało w jego wnętrzu, rycerz powściągnął emocje. Z dalszymi jednak słowy Oga przychodziło mu to z coraz większym trudem.

– Wywalczone ziemie należą już do waszego ludu. Ich utrata wskazuje, że nie zasłużyliśmy na nie. Wojownicy klanów polegali w wielkiej chwale i słuchają mnie teraz, wraz z przodkami, jako bohaterowie w Wielkiej Górze. Lamentować należy raczej nad tymi, którzy zadali im śmierć. Nie zmienisz tego, co było, człowieku, ani nie zmieni tego twój wódz. Nie tego oczekuję od twego ludu.

– Czego zatem? Powiedźże wreszcie!

Oczy Oga zabłysnęły. Odpowiedział powoli i z naciskiem.

– Chcę, abyście żalowali.

Słowa zawisły ciężko w dusznym wnętrzu namiotu. Zapadła po nich ciszę przerwał śmiech Venura.

– Odwołujesz się do naszych sumień, olbrzymie? Chcesz nas pouczać żyjąc tu jak zwierzę, śpiąc z psami pośród smrodu skór i tkwiąc w zabobonach? Kim jesteś, by nas osądzać? Przez swe zacofanie zostaliście pokonani. Choć dysponujecie imponującą siłą brak wam dyscypliny, by odrzucić ciemnotę, a wasza absurdalna duma tylko was w niej utwierdza. Powiem ci coś, wodzu, choć mało prawdopodobne, abyś to zrozumiał. – Venur podniósł głos jeszcze bardziej i wymierzył palec w rozmówcę – Będąc w służbie Światła nie czuje się żalu. Wypełniając jego wolę nie żałuje się NICZEGO i NIGDY!

– Niech zatem wasze Światło wybawi was z kłopotów – odparł spokojnie Og.

– Tak właśnie będzie, olbrzymie, zapewniam cię. Ono mnie tu sprowadziło i ono nie pozwoli mi odejść z niczym. Udzielisz mi swej pomocy czy tego chcesz, czy nie!

– Nie leży w twojej mocy zmusić mnie do czegokolwiek. Z tą chwilą nie jesteś już naszym gościem. Odejdź nim powiesz za dużo, Venurze Lisyllwar.

– Mylisz się, istnieje sposób, by rozstrzygnąć nasz spór. – Venur wyprostował się i zawołał z mocą – Ogu z klanu Kamiennej Pięści, wyzywam cię!

Po tym, jak wybrzmiał ten krzyk, cisza w namiocie aż dzwoniła w uszach; rycerz usłyszał za sobą jedynie stłumiony jęk niedowierzania Kachika. Wódz wreszcie okazał jakieś emocje szarpiąc dłonią warkocze brody.

– Coś ty powiedział? – zagrzmiął swoim tubalnym głosem.

– Słyszałeś. Zostałeś wyzwany i staniesz ze mną do pojedynku. Nie możesz odmówić, znam wasze zwyczaje!

– Chybaś zgłup... – wyrwało się stojącemu z tyłu Kachikowi, nim ojciec błyskawicznie go uciszył.

– Odejdę dopiero wtedy, gdy osiągnę cel, dla którego przysłano mnie do tej głuszy. Skoro nie uznajesz za godne rozważki moich słów, może lepiej przemówi do ciebie żelazo.

Og przestał skubać brodę. Wcześniej nie spuszczał oczu z przybysza, a teraz wręcz przewiercał go na wy-lot wściekłym spojrzeniem. Nagle jego wielka pięść z rozmachem rąbnęła w kamienne oparcie tronu. Ol-brzym wstał. Już w pozycji siedzącej wyglądał okazale, natomiast gdy się wyprostował, Venur na sekun-dę aż wstrzymał oddech. Og był wielki i masywny jak góra, z pewnością najpotężniejszy ze wszystkich członków plemienia. Nogi miał grube niczym konary drzew, ważył pewnie dwakroć tyle, co rycerz, a on sam nie był przecież ułamkiem. Podeszedł bliżej. W nozdrza Venura uderzył zapach starej skóry, ciepło bijące od ogromnego cielska dało się wyczuć nawet z odległości metra. Zdeprymowany jego masą musiał podnieść głowę, by utrzymać kontakt wzrokowy.

– Możesz cofnąć swoje słowa, człowieku. Potem nie będzie odwrotu – zadudnił olbrzym.

– Stawaj! – pomimo poczucia przytłoczenia natychmiast odwarknął rycerz.

Og skinął głową.

– Chciałeś.

Potem popatrzył na Kachika.

– Wskaż mu drogę do Wilczej Skały, młodzieńcze. Niech przyjdzie, gdy będzie gotów.

Rycerz bez słowa odwrócił się i ruszył do wyjścia. Ledwo opuścili namiot, młody olbrzym złapał go za ramię.

– Venurze Lisyllwar... ?

– Wybacz mi, Kachiku. Nie chciałem, aby moja wizyta tutaj zakończyła się w ten sposób.

– Ale... ja myślałem... – jękał się młodzieniec z wyrazem rozczarowania na pocziwej twarzy.

– Pamiętasz naszą rozmowę o powinnościach mężczyzny? U mnie najważniejsze są te wobec ojczyzny. Dla ciebie też powinny być.

Olbrzym pokiwał smutno głową.

– Nie pokonasz Oga.

Venur uśmiechnął się.

– Ja nie. Światło tego dokona.

*

Na miejsce wyznaczone do pojedynku szli dość długo słabo widoczną w trawie ścieżką wśród niskich drzew i lichych kępek zarośli. Osadę zostawili daleko za sobą. Wspomniana Wilcza Skała okazała się kil-kumetrowym nieforemnym głazem rozpadającym się u góry na dwa wierzchołki, u podstawy zaś nieco szerszym, co z daleka rzeczywiście przypominało łeb wilka o nastroszonych uszach. Venur, a tuż za nim

milczący Kachik, pewnym krokiem zmierzał ku niej pobrzękując ryszunkiem. Na miejscu widział już tłum olbrzymów, być może nawet całe plemię chcących obejrzeć walkę. Przyszły też kobiety, co stanowiło niebywale rzadki dla ludzkiego oka widok. Wzrostem dorównywały mężczyznom, lecz były drobniejszej budowy, o mniej ostrych rysach i gładkich, bardziej przypominających ludzkie twarzach. Gdy tak patrzyły na niego obojętnie, pomyślał że tkwiło w nich jakieś surowe piękno.

Venur przystanął przed grupą śmiało patrząc każdemu z jej członków w oczy. Miał na sobie żelazny kirys chroniący pierś, plecy i uda; naramienniki, łubki osłaniające kolana i łokcie, rękawice, pas ze sztyletem oraz zakonny tabard. W dłoni trzymał długi miecz, póki co ukryty w pochwie, a pod pachą hełm – stożkową łebkę z nosalem. Zaraz też z tłumu wyłoniła się masywna postać Oga. W świetle pogodnego dnia stojąc w całej swej okazałości wydawał się jeszcze większy.

– Gdzie staniemy? – zapytał Venur.

– Tu – olbrzym wskazał rzucany przez skałę długi cień.

Odeszli nieco dalej od widzów. Podłoże było tam równe, żadnych dziur ani kamieni mogących spowodować niespodziewany upadek. Rycerz założył hełm, poprawił elementy zbroi, poruszał się trochę sprawdzając, czy dobrze leżą. Olbrzym cierpliwie czekał w milczeniu. Nie założył żadnego pancerza, jego lud nie potrafił wytwarzać takowych. Nosił tę samą tunikę i bransoletę. Na dany znak ktoś z tłumu rzucił mu oręż. Og zręcznie złapał jednosieczny brodaty topór osadzony na grubym, dostosowanym do olbrzymiej dłoni drewnianym stylisku. Od niechcenia machnął nim kilka razy w powietrze rozgrzewając ramię. Oręż był dość stary i kiepsko wykonany, Venur dostrzegł wyraźne wyszczerbienia na obuchu. Nie spuszczał oczu z przeciwnika, gdy miecz opuszczał pochwę z przyjemnym szelestem. Przyjął niską postawę ułatwiającą szybkie manewrowanie i czekał w milczeniu prosząc Światło o błogosławieństwo. Pomimo drżenia dłoni oraz łomotu serca, czuł w swym wnętrzu jego jaśniejącą moc.

– Światło mocą swojego ludu, pieśnią na jego ustach... – zaczął śpiewać cicho.

Widząc gotowość przeciwnika wódz klanu Kamiennej Pięści skłonił się z szacunkiem, a stojący naprzeciw mu rycerz odpowiedział tym samym. Tak rozpoczął się pojedynek.

Stali jakieś siedem metrów od siebie. Venur począł ostrożnie zbliżać się po łuku pamiętając, że długie nogi olbrzyma mogą szybko pokonać odległość. Broń miał opuszczoną, ale nie tracił czujności. O ile siła fizyczna była bezdyskusyjnym atutem Oga, zagadką pozostawała jego szybkość i koordynacja ruchowa. Musiał je najpierw przetestować zanim podejmie próbę ataku. Tym razem długi miecz nie gwarantował mu przewagi zasięgu. Drzewce topora były od niego krótsze, lecz olbrzym z pewnością nadrabiał ten brak swym długim ramieniem.

Nadchodził z prawej strony. Og póki co stał w miejscu nonszalancko opierając topór na ramieniu. Ponownie jego stara twarz nie zdradzała żadnych zamiarów, które często zdarzało się wyczytać u ludzkich oponentów. Przebywszy połowę dystansu, Venur energicznie uniósł miecz przechodząc do górnej postawy. Nagły ruch nie wywołał spodziewanej reakcji przeciwnika, wódz zachowywał spokój.

W walce z kimś o takich rozmiarach trudniej było mierzyć w zazwyczaj atakowane partie jak szyja, wątroba, czy głowa. Kończyny – najczęściej oszczędzane ze względu na posiadane opancerzenie i niemożność zadania natychmiastowej śmierci poprzez trafienie ich – tym razem były odsłonięte i to je należało obrać za cel. Olbrzym może i był silniejszy od człowieka, ale wykrwawić mógł się z pewnością tak

samo.

Venur dynamicznie ruszył z uniesionym wysoko mieczem nagle opuszczając klingę, by ciąć przeciwnika w udo. Był pewien, że sięgnie celu, lecz Og w ostatniej chwili cofnął się z niespodziewaną szybkością, jednocześnie skręcił lekko ciało i ruchem tym rozhuśtał topór. Z wrzaskiem machnął nim z góry po lekkim skosie, jakby chciał odrąbać rycerzowi głowę. Ten jednak był przygotowany. Odskoczył zręcznie przepuszczając ostrze i nim jeszcze Og odzyskał równowagę, krótkim cięciem chlasnął go w odsłonięte przedramię. Chciał pójść za ciosem, lecz zatrzymany przy ziemi topór natychmiast ruszył w drogę powrotną po tej samej trajektorii, by rąbnąć go na odlew tępą stroną obucha. Zaskoczony Venur ledwo zdążył z obroną. Zdołał zastawić się płazem, mimo to siła uderzenia mało nie zbiła go z nóg. Gdy tylko żelazo z hukiem grzmotnęło o żelazo, wódz ruszył do ataku. Bił obszernymi zamachami z prawej i lewej strony, a jego długie warkocze kołysały się w rytm nadany przez rozpędzone ramię. Rycerz odskakiwał, parowanie tak mocarnych uderzeń na twardo strzaskałoby mu nadgarstki. Na szczęście po stronie przeciwnika widoczny był brak technicznego wykształcenia: ataki były sygnalizowane i łatwe do uniknięcia. Ranne prawe przedramię krwawiło, choć niezbyt obficie. Nie wyglądało na to, aby miało powstrzymać olbrzyma przed zadawaniem kolejnych ciosów.

Venur zwiększył nieco dystans, a przeciwnik natychmiast ruszył za nim ze złowrogim pomrukiem. Tym razem zamierzył się pionowo z góry, na co rycerz zastosował podręcznikową obronę najwyraźniej mu nie znaną. Zszedł na bok omijając opadające ostrze i wykorzystując pęd ciała wyprowadził cięcie z dołu. Klinga długiego miecza bez trudu odcięła jeden z warkoczy brody, przeszła cienką tunikę i rozorała lekomyślnie odsłonięty korpus olbrzyma. Przeciągnawszy ostrzem rycerz obrócił broń do kończącego ciosu. W tym momencie na jego hełm spadła lewa ręka Oga. Padł trafiony potężnie nasadą wielkiej pięści, lecz, poddając się wpojonemu odruchowi, natychmiast przekościółkował zwinnie do tyłu i wstał gotów odeprzeć atak. Ten jednak nie nadszedł. Przygarbiony wódz klanu przykładł dłoń do krwawiącej rany. Venur z niedowierzaniem ujrzał, że, choć cięcie było zadane prawidłowo, nie sięgnęło trzewi, a jedynie poważnie rozerwało skórę. Zza poszarpanego odzienia widać było rozplątane mięso, niczym rozarty kielich jakiegoś makabrycznego kwiatu.

– Poddaj się, olbrzymie. Nie chcę cię zabijać – powiedział do oponenta.

Og spojrzał na niego. Dotychczasowy chłodny spokój zniknął z jego starych oczu, jakby nigdy go nie było. Teraz płonęła w nich dzika wściekłość. Niesiony nią wydał z siebie przerażający bojowy okrzyk i ruszył z uniesionym orężem, aż ziemia zadrżała od tupotu ogromnych stóp. To niemożliwe, pomyślał Venur.

Tym razem nie zdołał uskoczyć przed furiacką szarżą. Rozpędzone cielsko staranowało go z siłą powozu rzucając nim jak słabym dzieckiem. Oszołomiony rycerz runął ciężko na plecy, a świat wirował mu przed oczami w szaleńczym tańcu. W ostatniej chwili przetoczył się na bok uciekając przed opadającym obuchem, który zamiast w jego ciało wgryzł się głęboko w glebę. Wykorzystał sekundę potrzebną olbrzymowi na wyszarpięcie broni, by wstać chwiejnie na miękkich nogach. Szczęśliwie nie wypuścił z rąk miecza, Og nie dał mu jednakże chwili wytchnienia. Bezlitosny topór ze złowrogim dźwiękiem przeszył powietrze ledwie centymetry od jego hełmu, a potem śmignął znów od dołu. Venur, który wciąż nie doszedł do siebie po upadku, odruchowo sparował uderzenie, a wtedy natychmiast jego prawe ramię przeszła błyskawica bólu. Żelazo szczęknięło straszliwie, miecz wypadł z bezwładnej dłoni i poszybował gdzieś na bok niesiony energią przyjętego ciosu. To koniec – przemknęło mu przez myśl. Bezradnie patrzył jak, szczerząc zęby w wyrazie wściekłości, olbrzym brał zamach do ciosu mającego zakończyć jego życie.

Znów zadziałał odruch wyniesiony z setek godzin ćwiczeń w zakonie oraz wielu potyczek w polu. Zdziwiony, że jeszcze zdołał to zrobić, skoczył naprzód chowając się pod opadające ramię. Równocześnie lewą ręką wyszarpnął sztylet. Topór opadł nie czyniąc mu krzywdy, a on przywarł do wielkiego przeciwnika całą pozostałą mu jeszcze siłą wbijając krótkie ostrze w paskudnie zraniony brzuch. Og zaryczał jak rozjuszony zwierz. Gdy zamachnął się, by dźgnąć ponownie, mocarne łapy otoczyły Venura zamykając go w żelaznym chwycie. Z potworną siłą zacisnęły się gwałtownie łamiąc kości jak suche gałęzie. Porażony przeszywającym bólem krzyknął resztką powierza ze zmiażdżonych płuc. Potem oderwały go od podłoża łatwo, jakby nic nie ważył. Nie był w stanie się bronić, gdy olbrzym stękając uniósł go nad głowę, wyprostował ramiona i z całych cisał nim o ziemię.

Rycerz bardziej usłyszał, niż poczuł niepokojący trzask w plecach. Leżał nienaturalnie skrzywiony, a ból nagle przygasł. W ogóle przestał odczuwać cokolwiek. Widząc, że Og staje nad nim aż stęknął z wysiłku próbując zmusić odporne ramię do podniesienia miecza. Jego ostrze leżało jednak parę metrów dalej, a ciało odmówiło posłuszeństwa. Twarz olbrzyma znów była spokojna, bitewny szal minął. Błede oczy przypatrywały się pokonanemu ze zwyczajową obojętnością. Choć sam był ciężko ranny, stał prosto za nic mając ciekącą krew.

– Kończ... to... – jęknął cicho rycerz.

– Pojedynek dobiegł końca, Venurze Lisyllwar. Odbierając życie bezbronnemu okryłbym się hańbą.

Patrzyli sobie w oczy jeszcze przez kilka sekund. Og oddał mu pokłon i odwrócił się, by odejść, a wraz z nim pozostali. Pokonany Venur pozostał sam przy Wilczej Skale. Wraz z odejściem olbrzymów cisza zapadła na trawiastej równinie i tylko słabe jęki zakonnego rycerza co jakiś czas unosił ze sobą wiatr.

V. Wybrana

Choć dzień był słoneczny, światło zdawało się przygasać. Błede słońce powoli, jakby z trudem sunęło po nieboskłonie, aż dotarło na jego drugi koniec. Pomimo wysyłanego przez nie ciepła, od nagiej ziemi bił dziwny chłód. Venur Lisyllwar leżąc bezwładnie i obserwując tę pełną męki wędrówkę co rusz zapadał w niespokojny sen. Zdawało mu się, że Tiguril Bronnhaw jest tu z nim, siedzi tuż obok na krawędzi wzroku, gdzie uparcie nieruchoma głowa rycerza nie potrafiła się obrócić. Świst wiatru był jego cichym szyderczym śmiechem. Innym razem powiew przypominał przepełnione troską westchnienia jakiejś kobiety. Nawet był nieco cieplejszy, jakby jej oddech trafiał mu wprost do ucha. Niesione nim żdzbla trawy łaskotały po twarzy podobne do włosów pochylającej się nad nim zatroskanej niewiasty.

Nagle z półsnu wyrwał rycerza odgłos kroków. Jednak przyszli – pomyślał – jednak dadzą mu godną śmierć. Słońce płonęło już wieczornym szkarłatem, a na jego tle ukazały się sylwetki koni, na których tu przybył. Poczciwy siwek, ciągle niosący dobytek swego pana, pochylił się nad nim. Zwierzęta dobrze znały Venura, jako brat służebny pielęgnował je od małego w zakonnej stajni. Widocznie olbrzymy puściły je wolno.

– Witaj, przyjacielu – rzekł przez zaschnięte gardło. – Dobrze widzieć cię w zdrowiu.

Koń prychnął nerwowo. Przez jakiś czas skubał nieopodał trawę, a potem zniknął rycerzowi z oczu. Jego jedynymi towarzyszkami pozostały leniwie wylaniające się w zapadającym zmroku gwiazdy. Tylko one mu zostały, opuściło go nawet Światło. Najwyraźniej nie zasłużył na jego łaskę. Prowadziło go przez całe życie, by ostatecznie zawieść do zguby z ręki dzikusów z dala od ojczyzny. Do Światła należy zwycięstwo, my musimy walczyć o nie – jak nauczał wspaniały król Nerevil. Venur walczył za słabo.

Ciemność otuliła go w zimny całun. Miał wrażenie, że tysiące gwiazd to oczy jakichś tajemniczych stworzeń w milczeniu patrzących z mroków nocy. Słaby wiatr znowuż począł szeptać do niego w swoim niezrozumiałym języku. Przetaczał się po jego nieruchomej twarzy leciutkim ciepłem i, co zaskakujące, ledwie wyczuwalnych zapachem kwiatów. Może gdzieś tu rosły, pomimo jałowej ziemi, pomyślał. Moc życia zdołała pokonać martwą glebę, wybiła się wśród traw i rachitycznych drzew.

Venur nie wiedział już, czy śni. Przestał czuć nawet chłód podłoża, miał wrażenie unoszenia się w powietrzu. Był w ciemności pośród gwiazd, wisiał wraz z nimi na nieskończonym firmamencie otoczony zewsząd punktami światła. Mimo to zapach kwiatów towarzyszył mu, błędził wokół nozdrzy z cichutkimi szeptami wiatru. Nie obawiał się nocy. Jej czerń, ciepła i ruchliwa, obdarzyła go swą pieśczęcią, czule zamknęła w objęciu mroku i słodkiej woni. Dla niego zawirowała przyjmując z atramentowego cienia kształt: uformowała wargi, by szeptać do niego, by czuł na policzku ciepło jej słów; z nicości wyciągnęła ku niemu dłonie i ułożyła wygodniej zdruzgotane ciało; utkanymi z ciemności włosami starła kurz z jego twarzy.

Oczy gwiazd zamknęły się. Venur trwał w objęciach nocy.

*

Wilcza Skala litościwie osłaniała oczy przed ostrym blaskiem poranka, ale wkrótce słońce i tak miało dotrzeć do miejsca, gdzie spoczywał rycerz.

– Poczekam na ciebie, nigdzie się nie wybieram. Znów przewędrujemy razem cały dzień – wychrypiął spieczonymi wargami.

W nocy męczyły go dziwne sny. Widział niezliczone tłumy ludzi podążające za drobną postacią skrytą w cieniu. Prowadziła ich w ciemny las i tylko Venur dostrzegł, jak między wielkimi drzewami błyskają oczy przemykających wilków. Otworzył usta, by wykrzyczeć ostrzeżenie, lecz wyschnięte gardło nie zdołało wydać dźwięku.

To raczej nie potrwa już długo, uznał przebudziwszy się. Potrzaskane żebra mogły przebić organy wewnętrzne i doprowadzić do uchodzenia krwi, a nawet jeśli nie, z pewnością wkrótce zainteresują się nim dzikie zwierzęta. Nie bał się ich, ani śmierci od ran. Jedynym powodem, dla którego Venur pragnął szybkiego końca była przyniatająca świadomość porażki. Zawiodł pokładane w nim nadzieje. Myśl ta spadła na niego ledwie tego ranka otworzył oczy. Zawiodł zakon, mistrza Aledyana, ojczyznę, a przede wszystkim Światło. Może jest tak, jak wierzą olbrzymy – zadumał się – i teraz patrzą na niego z jakiegoś odległego miejsca wszyscy królowie Nereveii, wielcy mistrzowie, rycerze zakonni i poległa w wojnach szlachta. Jak oceniają jego starania? Czy w zbliżającej się nieuchronnie ostatniej godzinie przyjmą go do

swego grona?

– Obym był godzien... – powiedział znów do siebie i mało nie krzyknął, gdy na dźwięk jego głosu coś poruszyło się bardzo blisko.

Venur bez namysłu poderwał się na nogi z uniesionymi pięściami. W reakcji na ten gwałtowny ruch u jego stóp zamarła skulona ze strachu długowłosa postać. Objęła drobne kolana ramionami i wtuliła w nie głowę, jakby dzięki temu miała zniknąć.

– Kim jesteś?! – warknął rycerz.

Nie mógł to być to olbrzym, nie z tak cienkimi kończynami. Zaskoczony rycerz dopiero po paru sekundach, gdy wzburzona krew w jego żyłach nieco zwolniła, spostrzegł, że na ziemi przed nim kuliła się zwyczajna ludzka kobieta. Nie miała na sobie żadnego odzienia, nagość bladej skóry zasłaniały jedynie bardzo długie czarne niczym noc włosy.

Z chwilą dostrzeżenia jej niespodziewanej obecności, Venur zdał sobie również sprawę, że właśnie wstał o własnych siłach i nie sprawiło mu to trudności większej niż zazwyczaj, ani nie doskwierał mu żaden ból. Zdumiony począł macać ostrożnie klatkę piersiową, kończyny oraz głowę zdjawszy hełm. Najwyraźniej nic mu nie dolegało, żadnych zmiażdżonych kości, dłonie sprawne jak co dzień. Jediną pamiętką po wczorajszym starciu były smugi krwi olbrzyma na ubrudzonym ziemią zakonnym tabardzie, które świadczyły, że wydarzenia te nie były wytworem jego wyobraźni. Jak zatem było możliwe, by po zaledwie paru godzinach od stania u progu śmierci odzyskał nagle siły? Wczoraj Og nieomal złamał go na pół, a dziś nie nosił nawet śladu obrażeń.

– Skąd się tu wzięłaś, kobieto?

Kucała zwinięta w kłębek. Zza szczelnej zasłony włosów i ramion dochodziły tylko cichutkie piski. Nie podniosła nawet głowy, by spojrzeć na rycerza.

– Nie obawiaj się mnie, nie zrobię ci krzywdy.

Drobne ciało drżało wyraźnie. Nie odpowiadała. Jak w takim miejscu znalazła się naga kobieta?! – myślał zdumiony. Czyżby uciekła z niewoli u olbrzymów? O ile wiedział oni raczej nie brali jeńców. Wrogów niezdolnych do dalszej walki po prostu zostawiali, tak jak pozostawili tu jego. Nigdy też nie atakowali kobiet. A może przyszła tu aż z gór?

– Uciekłaś rozbójnikom?

Bandy, z którymi walczył w górach Achne'mur porywały kobiety dla własnych uciech, bądź dla okupu. Chodziły też plotki, iż renegaci nawiązywali kontakty z jakimś tajemniczym barbarzyńskim ludem mieszkającym po drugiej stronie pasma w gęstych puszczech Strizlapallonu. Podobno, co budziło szczególne obrzydzenie, sprzedawali im pojmane kobiety.

– Cokolwiek ci się przydarzyło, nikt cię już nie skrzywdzi. Nazywam się Venur Lisyllwar, jestem rycerzem Zakonu Światła. Pomogę ci, tylko powiedz, co się stało. Jesteś ranna?

Ukucnął przy niej. Nie zauważył żadnych zranień, ani siniaków; skóra kobiety była gładka i zaskakująco czysta, jak na kogoś, kto z pewnością długo wędrował. Przecież nie mieszkała tutaj, nigdzie w pobliżu nie

leżała ludzka osada. Cały czas zakrywała przed nim twarz.

– Popatrz na mnie. Wszystko będzie dobrze, zabiorę cię stąd. – przemówił uspokajająco.

Uniosła nieznacznie głowę, aby ostrożnie zerknąć na niego ponad tulącym kolana ramieniem. Gęste włosy wciąż nie pozwalały dojrzeć jej oblicza.

– Widzisz? – wskazał na tabard. – Nie jestem jednym z nich. Powiesz mi jak się nazywasz?

Jęknęła cicho.

– Spokojnie. Nie ma się czego bać.

Venur powoli wyciągnął dłoń i odgarnął na bok włosy. Nie protestowała. Dwoma palcami delikatnie unióś jej brodę, by wreszcie spojrzeć w twarz. W momencie, gdy spotkały się ich oczy nagle coś mocno ścisnęło go w piersi.

– Ty... – sapnął zdębiały.

Kobieta, a właściwie dziewczyna, gdyż była jeszcze młoda, przypatrywała mu się z zaciekawieniem. Miała najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek dane mu było widzieć. Ich przejrzysty błękit zahipnotyzował go na chwilę, nie mógł oderwać od nich wzroku tak były intensywne, głębokie, nieomal... nie-ludzkie. Mógłby w nich utonąć. Szybko wstał czując nagły przypływ gorąca.

– Widzę, że... nic ci nie jest.

Podążyła za nim spojrzeniem. Jej twarz była drobna, o delikatnych dziewczęcych rysach. Wąskie wargi rozchylone w wyrazie zdziwienia miały kolor malin. Również wstała, a Venur nie zdolawszy się powstrzymać obejrzał od góry do dołu jej nagie ciało.

– Coś ty... jakże to...?! – bąknął speszony uciekając wzrokiem. Bezradnie zamachał rękami – Niech mi Światło wybaczy!

Gwałtownie ściągnął z siebie tabard i narzucił na dziewczynę. Odskokczyła wystraszona. Wytrzeszczonymi oczami oglądała i gniotła dłońmi o wiele za obszerne leżące na niej okrycie. Już chciała je ściągnąć, ale rycerz powstrzymał ją.

– Błagam, zostań w tym! Zaraz znajdę ci ubrania, gdzieś tu są moje konie z bagażem.

Gwizdaniem i głośnym cmokaniem nawoływał zwierzęta chodząc wokół skały. Stały tuż za nią kilka metrów dalej i spokojnie się pasły. Venur z uśmiechem poklepał je po grzbietach. Przejrzał szybko swój dobytek, wyglądało na to, że nie brakowało niczego. Zapasową koszulę i spodnie zaniósł dziewczynie.

– Załóż to. Będzie sporo za duże, ale nic innego nie mam. Ja tymczasem przygotuję konie do drogi.

Popatrzyła na odzież jakby pierwszy raz w życiu coś takiego widziała.

– Posłuchaj, jeśli chcesz żebym ci pomógł nie możesz chodzić bez ubrania – nagle przyszła mu do głowy ponura myśl. – Czy oni cię... skrzywdzili? No, wiesz...

Nie odpowiedziała. Jej niesamowite oczy błędziły to po okolicy, to po twarzy rycerza, to po przyniesionych rzeczach.

– Nie możesz mówić?

Cicho westchnęła bezradnie.

– To nic, z czasem dojdiesz do siebie, zobaczysz. Teraz, proszę, ubierz się.

W dalszym ciągu tylko mrugała zdezorientowana nie reagując na polecenia. Może jest głuchoniema? – pomyślał. Stanął za nią i ściągnął z niej tabard ponownie błagając w myślach Światło o wybaczenie. Potem delikatnym ruchem nakłonił, by uniosła drobne ramiona. Dotyk miękkiej skóry przeszył go słodkim dreszczem. Dziewczyna była tak cudownie uległa, nawet nie odwróciła głowy, żeby sprawdzić co robi. Venur ledwo łapiąc oddech popatrzył nieco z boku na jej smukłą szyję, delikatnie zarysowane łopatki i niżej na...

Co też się z nim działo?! – zrugął się w myślach czując gorąco na twarzy. Szybko wciągnął jej przez głowę luźną koszulę. Wisiała na ciele niczym opończa, ale przynajmniej stanowiła jakieś okrycie. Wyciągnął na wierzch jej włosy. Głęboka czerń niosła ze sobą przyjemną gładkość, były bardzo długie i lśniące. Pod pretekstem rozczesania zanurzył palce obu dłoni w tę gęstwinę napawając się ich miękkością. Wtedy zdawało mu się, że coś poczuł. Pochyliwszy głowę nad sporo niższą dziewczyną wciągnął mocniej powietrze i już wiedział. Jej włosy rozsiewały ten cudowny zapach kwiatów, który nawiedzał go w nocy. Była tu cały czas, siedziała przy nim, gdy umierał pokonany.

Na moment zanurzył się w słodkiej woni gładząc włosy dziewczyny z zamkniętymi oczami. To nie były żadne kwiaty wyrosłe cudownym sposobem na wiejskiej ziemi. To ona. Czuwała przy nim samotna i porzucona przez los jak on sam. Nie mogła mu pomóc, lecz przynajmniej wsparła swą obecnością. Jego los jednak nie był przesądzony. Choć Venur poległ zdruzgotany niehumanitarną siłą, powstał, by żyć dalej. Światło wcale go nie porzuciło. Prosił je i jego moc przyszła, złączyła strzaskane członki, zaleczyła rany. Wyprawa wcale nie zakończyła się porażką, stanowiła jedynie próbę jego wiary, którą przeszedł pomyślnie nie uginając się wobec przeciwności. Teraz wiedział już co uczynić, pomoc olbrzymów od początku nie była potrzebna. Sam położył kres zagrożeniu wiszącemu nad królestwem. Jego rękami Światło raz jeszcze objawi swą wolę wobec ludu Nereveii.

Zdając sobie sprawę, że stoi tak już zbyt długą chwilę, otworzył oczy. Dziewczyna patrzyła na niego. Zakłopotany puścił jej włosy. Błyskiem zaciekawienia lśniły niesamowite oczy, na ustach błąkał się leciutki uśmiech. Jakże cudownie piękna jest ta twarz, pomyślał, a serce znów przyspieszyło mu w piersi. Natychmiast przywołał się do porządku. Dlaczego się tak zachowywał? Owszem, przez dziewięć ostatnich lat odosobnienia niemal nie widział kobiet, ale nigdy nie stanowiło to problemu. Idąc do zakonu rozumiał wszystkie konsekwencje, a potem jeszcze długo mu o nich przypominano, nim przypieczętował decyzję złożonymi ślubami. Spokojne życie rodzinne nie było jego życiem, wiedział o tym jeszcze przed przekroczeniem progu zakonnego domu. Tym bardziej Venur nie mógł zrozumieć jakim cudem obecność nieznajomej tak na niego działała.

Pomógł jej założyć spodnie równie niedopasowane, co koszula. Tym razem bezwzględnie pilnował własnych oczu, by nie błędziły gdzie nie powinny, a znów chciały go zdradzić, gdy pochylał się przy dziewczynie.

– Wybacz, ale nie mam nic innego – powiedział prostując plecy. – Pojedziesz ze mną do Nereveii. Zawiozę cię do domu zakonnego, gdzie się tobą zaopiekują. Tam będziesz bezpieczna i spokojnie dojdiesz do siebie. Zgoda?

Na jej ustach ciągle gościł nieznaczny uśmiech, jakby przejrzała jego mimowolne zawstydzające myśli. Milczała, lecz wyglądało na to, że przestała się bać.

Poszła za rycerzem. Minęli Wilczą Skalę i podeszli do pasących się koni. Na ich widok dziewczyna zatrzymała się.

– Coś się stało? – zapytał Venur widząc, jak przykładła zaciśnięte pięści do ust.

Patrzyła na zwierzęta jak zaczarowana.

– Nie bój się, są łagodne.

Szeroko otwarte oczy spoczęły na rycerzu i nagle, ku jego zaskoczeniu, dziewczyna zaśmiała się w głos.

– Ha! – zakrzyknęła radośnie rozrzucając ręce na boki. Podbiegła do koni ciągle śmiejąc się wesoło.

Miała ciepły dziewczęcy głos, którego szczerze radosne brzmienie osiadło ciepłym balsamem na duszy rycerza. Wtuliła się w grzywę siwka chichocząc bezustannie, obejmowała go i głaskała, a koń przyjmował te pieszczoty ze stoickim spokojem. Potem to samo uczyniła z drugim. Venur nie mógł się napatrzeć na jej buzię promieniującą czystym szczęściem.

– ...Ń! – krzyknęła znów. Jej usta starały się powiedzieć coś więcej, poruszały się, lecz tylko jedna ta zgłoska zdołała je opuścić.

– Tak, to koń. Zaraz nim pojedziesz, cierpliwości – zaśmiał się.

Napoił zwierzęta czujnie obserwowany przez dziewczynę. Ściągnął z siebie założone do pojedynku elementy zbroi, pozostawiając jedynie kolczugę. W podróży tylko by mu zawadzały. Odszukał porzucone na trawie sztylet i miecz. Potem poprawił siodło, bagaże, a także ułożył na wierzchu jednego z tobołków lekko wystającą na zewnątrz rękojeść nadziaka, aby łatwo było go dobyć w razie potrzeby.

– ...Ń!...

Wyglądała jakby przypominała sobie dawno zaniechaną czynność, jaką była dla niej mowa. Kilukrotnie powtórzyła tę jedyną, jak do tej pory, wypowiedzianą frazę, co przypominało nieco dziecko dopiero poznające swe możliwości wokalne.

– Skąd ty się tu wzięłaś, panienko? – zadumał się głośno Venur.

Spojrzała na niego nagle poważniejąc. Położyła obie dłoni na piersi.

– ...ka...

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– ... ka... r...ka...

– Nie spiesz się, wszystko sobie przypomnisz.

– r... KA! – niecierpilwie uderzyła się w pierś.

– Tak masz... na imię? – spytał zdziwiony.

Oczy zabłyśły jej wesoło.

– ...Rka... – wskazała na siebie, a potem na niego. – ...Ur.

– Zgadza się, jestem Venur.

Uśmiechnęła się szeroko ukazując ładne równe zęby.

– ...Ur...

Jakże uroczo mrużyła przy tym te swoje niesamowite oczy, pomyślał.

– ...Ur... i... a... rka! – z radości aż klasnęła w dłonie.

– Coś czuję, że będzie nam się razem bardzo miło podróżować. A teraz, panienka pozwoli?

Podeszli do boku siwka, gdzie pokazał jej, co ma zrobić. Sądząc, po gasnącym uśmiechu, nie bardzo odpowiadał jej ten zamiar.

– Nie bój się, pomogę ci. Zrobisz to samo, co ja.

Rycerz zręcznie skoczył i usadowił się w siodle.

– Widzisz? To nic trudnego. Teraz twoja kolej – Venur wyciągnął rękę do dziewczyny.

Złapała dłoń z lekkim wahaniem.

– Dobrze. Teraz włóż stopę w strzemię. Nie tę, drugą... Świetnie. A teraz do góry!

Bez trudu wciągnął jej lekkie ciało na koński grzbiet, pomógł przełożyć drugą nogę i przyjąć wygodną pozycję. Posadził ją przed sobą, gdyż była bardzo drobna i nie zasłaniała mu widoku. Poza tym bał się, że siedząc z tyłu może nie utrzymać się na koniu przy szybszej jeździe, a będą musieli poruszać się możliwie szybko. Dość już stracił tutaj czasu.

– Bardzo dobrze sobie poradziłaś. Daj znak, jeśli będzie ci niewygodnie, to zatrzymamy się na chwilę.

Wyczuwał wyraźne napięcie jej opierających się o niego pleców. Gdy ujął lejce, kurczowo złapała się jego dłoni.

– Nie spadniesz, obiecuję, podtrzymam cię w razie czego. Gdy pierwszy raz wsiadłem na konia za młodu też byłem przerażony, ale za chwilę zobaczysz, że to nic strasznego. Ani się obejrzysz, a już będziemy w Nereveii.

Konie były wypoczęte i gotowe do drogi, zatem ruszyły niezwłocznie. Małe ręce wczepiły się w Venura jeszcze mocniej, gdyż na nierównym podłożu dwójką jeźdźców trzęsło niemiłosiernie, lecz po kilkunastu minutach jazdy uścisk zelżał. Jakże przyjemny był dotyk drobnego ciała, którego ciepło promieniowało po ramionach rycerza. Skóra mrowiła mu pod jej cienkimi palcami. Swym dotykiem zdawały się wzburzać jego krew przetaczającą się falą gorąca po całym ciele. Poczuł jak dziewczyna powoli rozluźniała się. Przestała drżeć poddając się zdecydowanym ruchom trzymających wodze rąk. Towarzyszył jej otulający zewsząd zapach kwiatów. Wystarczyło puścić lejce, objąć mocno tę szczupłą kibić, zanurzyć twarz w gęstwinie czarnych pachnących włosów, niecierpliwymi dłońmi przesunąć po miękkiej skórze, a potem...

Popędził konie jakby chciał uciec przed natrętnymi myślami. Nie poznawał sam siebie. Jak śmiał choćby rozważać takie czyny?! Niewątpliwie powiedzieć o tajemniczej pannie, że była urodziwa, to mało. Promieniała wręcz blaskiem naturalnego dziewczęcego piękna, tym bardziej ujmującego, iż najwyraźniej nie zdawała sobie z niego sprawy. Uroku dodawała dziewczynie szczerą radość, w ogóle wszystkie jej emocje były zadziwiająco szczerze i czyste, jakby nie była świadoma, że można je udawać. Tym większe obrzydzenie budziły w Venurze jego własne mimowolne reakcje, które tylko czekały na odpowiedni moment, gdy czujna zazwyczaj wola nie wykaże się stosownym refleksem. Wychowany w domu, gdzie od dziecka wpajano mu szacunek do kobiet i zawsze wzorujący się w tym na czcigodnym Nerevilu nie pojmował skąd wzięły się nagle te niegodne podszepty. Nigdy dotąd, nawet w zaciszu własnych myśli, Venur nie ośmielił się tak naruszyć czci kobiety.

Podróż przez równinę przebiegała bez zakłóceń. Towarzyszka nie zgłaszała skarg na niewygodę, utrzymywali dość dobre tempo, a słoneczna pogoda z lekkim wiatrem w plecy bardzo im sprzyjała. Wkrótce jednak mieli opuścić terytorium olbrzymów, a zatem rycerz musiał dokonać wyboru dalszej drogi. W oddali rysowały się już wieże zamku Kasmajan strzegącego trasy przez Abgzard. Mogli też jechać przez wschodnie lasy szybszą, lecz niebezpieczniejszą ścieżką. Gdyby był sam, łatwiej byłoby mu podjąć ryzyko. Światło wybawiło go z objęć samej śmierci, czymże w porównaniu do tego byłoby porządzenie sobie z kilkoma rzezimieszkami przy hipotetycznym napadzie rabunkowym? Teraz jednak podróżowała z nim dziewczyna, a zatem spoczywał na nim obowiązek zapewnienia jej bezpieczeństwa. Venur nie zastanawiał się długo. Na terenach Abgzardu, choć nie szczególnie gorliwie, wciąż przestrzegano dawnych zasad i pamiętano o tradycjach. Musiałby mieć zaiste wyjątkowego pecha, gdyby napotkał nieprzyjaźnie usposobionych miejscowych, którzy aż tak nisko ceniliby swój honor, by dać upust niechęci pomimo obecności niewiasty. Bezwiednie poprawiając pas z mieczem zerknął na dyskretnie wystającą z tobołka rękojeść nadziaka i poprowadził konie w kierunku wież na wzgórzu.

*

Wraz z abgzardzkim zamkiem zbliżał się czas przerwy na odpoczynek. Konie jechały już parę godzin szybkim tempem i z dodatkowym obciążeniem, ale Venur wołał nie zatrzymywać się w pobliżu warowni. Z chwilą opuszczenia terytorium klanu olbrzymów zjechał ze ścieżki, by pod osłoną rzadkich jeszcze drzew ominąć mury Kasmajan z możliwie największej odległości. Zwierzęta musiały jakoś wytrzymać, potem da im odetchnąć gdzieś z dala od tutejszych ludzi. Ponaglały go ku temu także bolesne postępowania dziewczyny. Z pewnością był to jej pierwszy raz w siodle, w związku z czym czekało ją jeszcze sporo nieprzyjemności. Doskonale pamiętał jak nazajutrz po pierwszej w życiu jeździe konnej bolały go mięśnie, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewał.

Ledwie tylko skierował konie na bezdroża, złowrogi stukot kopyt dochodzący z niewielkiej odległości uświadomił mu jak naiwne były jego plany. Czekający w ukryciu drzew jeźdźcy nagle ujawnili się zagrażając im drogę: trzech od przodu i po jednym z boków. Tym stojącym na czele trójki był nie kto inny, jak uśmiechnięty triumfalnie Bannuh Mronoth.

– A dokądże to tym razem, czcigodny pośle? Widzę, że wzgardziwszy naszymi traktami wybrałeś własną drogę. Czyżbyś zabłądził?

I tym razem świta była uzbrojona, a ich twarze wyrażały gotowość do zrobienia z oręża użytku. Rycerz poczuł jak dziewczyna stężała na widok obcych.

– Skąd takie przypuszczenie, panie? Zażywam jedynie uroków przyrody – odrzekł lekkim tonem zmuszony zatrzymać konie.

Bannuh zaśmiał się.

– Twoja ojczyzna musi być niezwykle uboga pod tym względem, skoro aż tak interesują cię tutejsze nieużytki. Co powiesz na to, zakonniku, by odłożyć na później zwiedzanie arcyciekawej okolicy i skorzystać z gościny mojego zamku? Zapraszam serdecznie, będzie dla mnie zaszczytem przyjąć królewskiego posła w skromne progi Kasmajan.

Venur rozejrzał się dyskretnie. Pięciu zbrojnych w hełmach i kolczugach, których prawice tylko czekały, by sięgnąć po żelazo. Nie miał szans ani na zwycięstwo, ani na ucieczkę.

– Z przykrością jestem zmuszony odmówić, panie. Dziękuję uprzejmie za twą propozycję, lecz zamierzam jedynie chwilę odpocząć i ruszać w dalszą drogę wypełniać swe obowiązki.

Szlachcic uniósł brwi w udawanym zaskoczeniu. Rozbawiony zamierzał najwyraźniej jeszcze przez chwilę pociągnąć przedstawienie.

– Chcesz spać na dworze jak dzikie zwierzęta?! Toć nie przystoi to zakonnemu rycerzowi! Odpoczniesz sobie w zamku, czcigodny panie, zaraz wydam polecenia służbie, aby dołożyli szczególnych starań odpowiednio przyjmując tak znamienitego gościa. Tym bardziej, że potrzebujesz pomocy, dostrzegam krew na twym odzieniu. A to – oczy Bannuha błysnęły zaciekawieniem na widok towarzyszki rycerza – zapewne... ów sprawa, dla której tu jechałeś, nie mylę się?

Pięści Venura zacisnęły się bezradnie.

– Jesteśmy, panie, ludźmi honoru. Z pewnością nie trzeba...

– Ależ oczywiście, oczywiście! – przerwał mu młody szlachcic. Uśmiechając się szeroko podjechał nieco bliżej. Ani na sekundę nie przestawał wpatrywać się w dziewczynę. – Wydawało mi się jedynie, że honorowi mężowie nigdy nie pozwalają sobie na kłamstwa, ale być może w pańskim kraju panują odmienne zwyczaje.

Ich konie niemal się już stykały, jeszcze dwa kroki i wejdzie w zasięg miecza. Bannuh jednak nie zbliżał się bardziej.

– Jak ci na imię, śliczna panienko? I któż to był na tyle pozbawiony gustu, by przyodziać cię w te łachma-

ny? To nic, piękno twoje przebija się nawet przez marność odzienia. Może ty skorzystasz z mojego zaproszenia, o pani, skoro panu posłowi tak spieszno do jego powinności? Będzie mi niezmiernie miło, mury mego zamku dawno już nie miały zaszczytu przyjąć do siebie tak uroczej niewiasty.

Uciekła przed jego lubieżnym spojrzeniem. Jeszcze bardziej przyłgnęła do Venura, wyraźnie było czuć jak drży.

– W niczym nie skłamałem – przemówił twardo rycerz – Czyniąc mi taki zarzut, panie, narażasz się na żądanie satysfakcji. Takie w moim kraju panują zwyczaje.

Grymas wściekłości przez ledwie sekundę przemknął po obliczu Bannuha, zaraz potem wróciło nań nonszalanckie rozbawienie.

– Proszę tedy przyjąć moje przeprosiny, rycerzu – skłonił się teatralnie – z pewnością przecież, jako królewski poseł, dysponujesz glejtem mogącym potwierdzić twoje słowa i zasadność kręcenia się bez zaproszenia po mojej ziemi. Błagam o wybaczenie, toć szkoda nawet czasu człowieka honoru prosić o takie rzeczy, ale gdybyś był jednak łaskaw pokazać mi ów dokument, bez chwili zwłoki przestanę zamęczać cię obecnością mojej niewartej uwagi osoby i oddalę się, byś bez przeszkód zmierzał dalej ku swoim celom.

W zapadłej pełnej napięcia ciszy nieregularną melodię wygrywał jedynie lekki wiatr potrząsający gałęziami drzew.

– Możemy to rozstrzygnąć sami, Bannuhu. Nie potrzeba mieszać do naszych spraw zbrojnej drużyny, ani tym bardziej kobiety. Zejdź z konia i wyjaśnijmy wszystko, jak mężczyzna z mężczyzną – mówiąc to Venur wodził czujnie wzrokiem po twarzach pod hełmami.

Abgzardzki szlachcic zrobił zawiedzioną minę. Kręcąc lekko głową podrapał się po gładkim podbródku.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. Czy przypadkiem nie powiedziałaś, panie, że nie posiadasz niczego takiego? Wielka to szkoda. Tak liczyłem, że napiję się dziś przy obiedzie z królewskim posłem, a tu taki zawód! W takim wypadku, panie Lisyllwar, nie mogę czcigodnego pana zaprosić na zamek. Nie wiem kim pan jest, może szpiegiem, może wrogiem żołnierzem, a może tylko zagubionym wędrowcem. Tak, czy owak, takich, jak ty nie toleruję na mojej ziemi. Co innego tę kwitnącą różyczkę – znów uśmiechnął się, tym razem nie ukrywając jadowitego triumfu. – Pozwól proszę ze mną, o piękna. W zamku Kasmajan czeka cię noc, której nie zapomnisz do końca swych dni.

Po prawej stronie zakonnego rycerza i dziewczyny stał koń z tobołkami i częściowo odgradzał ich od stojącego tam zbrojnego. Gdy zbliżył on swego konia, Venur prawym ramieniem otoczył towarzyszkę w obronnym geście. Cały czas bacznie obserwował przy tym Bannuha Mronothę, przez co dyskretnie dany znak nie uszedł jego uwadze.

Nadjeżdżający powoli z lewej drugi z członków świty nie miał szans dobyć broni. Zdażył jedynie położyć dłoń na rękojeści, gdy Venur sięgnęła, niby przypadkiem ułożoną w pobliżu prawą dłoń, do tobołka. Wyszarpnięty nagle znikąd nadziak śmignął po łuku, by ze strasliwym brzękiem opaść tępą stroną ciężkiego obucha na chronione żelazem czoło żołnierza. Niespodziewany cios zdmuchnął mężczyznę z siodła i momentalnie doprowadził do wybuchu zamieszania.

Bannuh krzyknął coś dobywając miecza, a przybocznicy szli już w jego ślady. Skulona ze strachu dziewczyna patrzyła, jak do ataku szykuje się ten z prawej. Venur ledwo zdążył odwrócić się po zadanym uderzeniu i przyjąć cięcie jego miecza na metalowy trzonek nadziaka. Nie była to broń zdatna do fechtunku, następny atak z pewnością rozpląta mu niechronioną jęciem dłoń. Kolejnego cięcia zbrojny jednak nie zdołał zadać, bo oto niespodziewanie jego koń stanął dęba rżąc z przerażenia, a zaskoczony jeździec grzmotnął o ziemię bez przytomności. Spanikowane zwierzę ruszyło naprzód blokując na chwilę jednego z napastników, lecz Bannuh wraz z towarzyszem gotowi do ataku nadciągali już z lewej strony. Nadziak rycerza skierował się ku nim w beznadziejnej próbie obrony. Wiedział, że nie zdoła zwyciężyć w tej potyczce i to właśnie wyczytał w płonących gniewem oraz złośliwą satysfakcją oczach młodego szlachcica.

W tej samej chwili wyraz tych oczu zmienił się gwałtownie, a zamiast na rycerza spojrzwały one na dziewczynę. Z twarzą, na której malowało się bezbrzeżne zdumienie, przywódca grupy machnął uniesionym w górę mieczem. Opadająca ze świstem klinga z łatwością rozcięła oczka kolczugi i, przechodząc pod kątem przez ciało, zatrzymała się dopiero na obojczyku kompletnie nieprzygotowanego na zadany z tyłu cios przybocznego. Kropelki chlustającej krwi dotarły aż do Venura; mężczyzna spadając z konia wydał z siebie przeraźliwy wrzask. Jeszcze nim dotknął ziemi, Bannuh odwrócił się w siodle ku następnemu z podkomendnych, temu, którego na kilka sekund wyłączył z akcji pierzchający koń. Właśnie patrzył on nic nie rozumiejąc na ten zdradziecki atak, gdy sztych pana precyzyjnym pchnięciem przeszył mu gardło. Tutaj krwi było jeszcze więcej, lecz szlachcic najwyraźniej jeszcze nie nasycił się jej widokiem. Zsiadł z konia, a Venur zrozumiał, że był w błędzie. To nie zdziwienie zobaczył w oczach oponenta tuż przed dokonaniem mordu na własnych ludziach. Twarz Abgwardczyka stężała od niewypowiedzianej grozy.

Groza gościła na niej, gdy dobijał ciągle rżącego głośno żołnierza z paskudną raną po ukośnym cięciu. Następnie podszedł do tego położonego przez Venura. Przyboczny ów leżąc na ziemi właśnie z trudem dochodził do siebie. Nadziak nie zakończył jego życia. Zrobiło to opadające ostrze trzymanego oburącz miecza, które trafiło na odsłoniętą przez szyszak szczękę, a potem opadło jeszcze kilkukrotnie w bezrozumnym szale zamieniając mu twarz w nieprzypominającą jej zupełnie krwawą miazgę potrzaskanych kości. Ostatnią ofiarą Bannuha został jeździec zrzucony przez konia. Ten szczęśliwie dla siebie nie zdążył odzyskać jeszcze przytomności, gdy szlachcic z całych sił dźgał jego ciało żelazem.

Venur nic nie rozumiejąc patrzył na jatkę. Jeszcze kilkadziesiąt sekund temu groziła mu śmierć z rąk prześladowców, a tymczasem wszyscy oni padli od miecza własnego przywódcy. Co też opętało tego człowieka?!

Skończywszy pastwić się nad trupem ostatniego z członków świty, Bannuh spojrzął na rycerza. Udręka na jego pokrytej kropelkami krwi twarzy była nieopisana, bez śladu zniknęło niedawne złośliwe rozbawienie i całkowita pewność kontroli sytuacji. Tabard miał zachlapany smugami szkarłatu, klingę zaś unurzaną nim w całości. Stał oddychając ciężko po zadanych z furią ciosach, a broń wypadła mu z opuszczonej ręki. Wtedy Venur spostrzegł, że wcale nie patrzył na niego. Obląkanym wzrokiem wpatrywał się w dziewczynę.

– Ty... – jęknął cicho i zadrżał.

Venur zeskoczył z końskiego grzbietu trzymając nadziak w pogotowiu.

– Bierz konia i odejdz stąd. Starczy już tu trupów – rzekł.

Bannuh jakby go nie słyszał. Bezustannie wytrzeszczał przerażone oczy na siedzącą na koniu. Ona także

patrzyła. Gdy rycerz obejrzał się na nią, zobaczył jak beznamiętnie obserwowała Abgzardczyka spod przymkniętych, jakby okropnie sennych powiek.

– PRZEKŁĘTA! – wykrzyknął nagle młody szlachcic strasznym głosem, a w ślad za nim rozległ się szelest dobywanego ostrza.

Venur zbyt późno zorientował się w jego zamiarach. Ostrzegawczo krzyknął skacząc naprzód, ramię z wyciągniętym z zanadru sztyletem było jednak zbyt szybkie. Bannuh Mronoth zamaszystym ruchem przeciągnął krótkim ostrzem po swoim gardle. Gdy rycerz dopadł do niego, już osuwał się na kolana. Podtrzymał rannego, ułożył na ziemi, lecz nie mógł nic więcej dla niego zrobić. Krew płynęła obficie z głębokiej rany, jękiem mężczyzny towarzyszył groteskowy świst powietrza płynącego przez przeciętą krtani. Abgzardczyk patrzył w niebo dygocząc spazmatycznie.

– Coś ty zrobił?! Co też cię opętało?!

Ranny nie odpowiedział. Długo nie potrwa jego agonía, Venur wiedział, że przy takim upływie krwi to kwestia najwyżej kilku minut. Nagle Bannuh wytrzeszczył na niego oczy.

– Nie patrz!

– Co?

– Nie... patrz na nią! – wysapał ostatkiem sił. – Zimno przenika... To... oczy. Jej oczy... są...

Nie zdołał dokończyć. Jeszcze przez moment jęczał cicho, a potem jego spojrzenie stało się puste. Reszta powietrza z cichym jękiem opuściła płuca w ostatnim tchnieniu.

Venur odwrócił się do dziewczyny. Stała tuż za nim zsiadłszy z konia i dalej patrzyła nieprzytomnymi oczyma na umarłego. Wstał gwałtownie.

– Co z tobą? – potrząsnął jej drobnymi ramionami. Nie zareagowała. – Co on miał na myśli? Dlaczego bał się ciebie?

Jakby była w transie, żadne słowa do niej nie docierały. Nie opuszczał jej ten senny wyraz twarzy: półprzymknięte powieki i oczy pozbawione życia. Rycerz znał go. Niegdyś pewien człowiek spojrzał już w ten sposób na niego, a nie tak dawno opowiadał mu o nim mistrz Aledyian.

Człowiekiem tym był Tiguril Bronnhaw.

– To ty, prawda?

Zamrugła, jej wzrok odzyskał ostrość.

– Ty to wszystko sprawiłaś.

Wyglądała już normalnie, odpowiedziała mu spojrzeniem swoich pięknych jasnych oczu. Biła od nich niewinność zupełnie niepasująca do pobożowiska wokoło.

– Patrzyłaś na niego, a on zaczął zabijać. Ty go... zmusiłaś. Samym wzrokiem. Konia, który uciekł w po-

płochu też.

Chwyciła go za ramię. Jej usta były otwarte, jakby próbowała coś powiedzieć, lecz zmagiła się z opornym językiem. Zmarszczyła brwi w wyrazie bezsilności.

– Tiguril nie jest jedyny. Potrafisz łamać ludzi jak on, a to oznacza, że...

– Oni! – wyrzuciła nagle z siebie dziewczyna – Oni chci... Chcieli... – słowa wychodziły z wyraźnym wysiłkiem.

Venur uwolnił się z uścisku jej ręki. Idąc do koni popatrzył po leżących na ziemi trupach. Bezużyteczny nadziejak schował do tobołka.

– Chcieli... krzywdzić... ź... źli... – wymamrotała, jakby każda zgłoska sprawiała ból.

Rycerz westchnął odwrócony do niej plecami.

– Masz rację. Chcieli nas skrzywdzić. Mnie położyliby trupem na miejscu, ciebie zaś zabrali do zamku, gdzie uczyniliby coś dużo gorszego, zanim podzieliłabyś mój los. Ale nie jest ważne kim oni byli – znów zwrócił twarz ku niej. – Dużo ważniejsze jest kim jesteś ty. Myślę, że czas już o tym porozmawiać.

Spuściła oczy, objęła się ramionami jak mała bezradna dziewczynka. Czy to możliwe, żeby dysponując taką mocą była tak niewinna? – zadał sobie pytanie Venur. Odpowiedziała cicho patrząc w ziemię.

– Nie chcia... chciałam tak... Mieli tylko... przestać... Wi... widziałam ich... oczy. Wszystko tam... widziałam...

– Powiedz, skąd się tu wzięłaś? Jak trafiłaś na ziemie olbrzymów?

– Ja... byłam tam.

– Nie przyszłaś z gór, ani z Abgzardu. Nie byłaś w niewoli. Twoje ciało nie nosiło jej śladów.

– Ja po... prostu przyszłam... – znów ta udręka na jej obliczu.

– Siedziałas przy mnie w nocy.

Na dźwięk tych słów jakby coś w niej drgnęło.

– Byłaś tam, pamiętam.

Ich spojrzenia spotkały się zaledwie na sekundę, gdyż dziewczyna ponownie uciekła wzrokiem.

– Ty... cierpiełaś. Czulałam to. Chcia... chciałam pomóc. Tyle bólu... sam w ciemności...

– Pomóc? – zdziwił się.

– Nie było za... późno. Duch silny, tylko ciało po... pokonane. Wystarczyło po jednej... Każdą pękniętą na nowo... – wykonała zagarniający gest rękami – Sięgnęłam, by złączyć w... jedno. Ocalić...

– To byłaś ty!

Venur dopiero teraz zrozumiał jak bardzo się pomylił. Podeszedł do dziewczyny. Stanął blisko, a ona wciąż kierowała oczy w ziemię.

– Uratowałaś mi życie.

Ta niepozorna drobna kobieta odegnała śmierć. Patrzyła, tak samo jak na Bannuha Mronotha, a pod jej spojrzeniem zgruchotane członki wróciły do zdrowia. W tym słabym ciele drzemała niezwykła siła. Lecz jeśli ona to wszystko sprawiła...

– Jak to robisz? Jak to możliwe, byś samym wzrokiem dokonywała... cudów?

– Ja... nie...

– Muszę to wiedzieć! Spójrz na mnie!

Zrobiła, co kazał dopiero po chwili, gotowa zaraz uciec niepewnymi oczami.

– Proszę – rzekł łagodniej – powiedz mi wszystko. Od samego początku.

Zbierała myśli z wyraźnym trudem. Nie był pewien, czy powodowało go zmaganie z niechętnym do współpracy ciałem, czy też ciężar wspominanych chwil. Być może obie te kwestie.

– Nocą... słyszałam cię... mó... mówiłeś coś. Żal, porażka, niepewność, osa... osamotnienie... wina... Czułam twój ból... przyciągnął mnie.

– Przyciągnął skąd? Gdzie byłaś wcześniej?

– Ja... byłam. Przyszłam, a... wcześniej była... noc...

– To było jakieś ciemne miejsce? Może górską jaskinia?

Zmarszczyła cienkie brwi w wyrazie męki.

– Noc! Tylko... noc i gwiazdy. Aż nie... usłyszałam... ciebie.

To bezcelowe, pomyślał. Może straciła pamięć i stąd te niezrozumiałe słowa? W wiosce położonej w Achne'mur opowiadali mu o pewnym góralu. Podczas wspinaczki spadł i uderzył głową o skały. Przeżył, lecz całkowicie zapomniał kim był, gdzie mieszkał, kim była jego rodzina. Ją chyba spotkało jakieś podobne nieszczęście.

– Dobrze. Przyszłaś tam i chciałaś pomóc. Jak tego dokonałaś?

Twarz dziewczyny nagle rozpromieniała. Zagościł na niej uśmiech tak pełen ciepła, że nawet stojący o krok dalej Venur poczuł je w sobie.

– O, tak... – na jego chronionej kolczugą klatce piersiowej położyła dłoń.

Ujął ją. Przez chwile przypatrywał się szczupłym palcom oraz miękkiemu wnętrzu pozbawionemu

choćby śladu po podjętej kiedykolwiek pracy. Skórę miała czystą i delikatną jak u nowo narodzonego dziecka.

– Muszę to wiedzieć. Czy... nosisz w sobie Światło? – zapytał puszczając dłoń.

Uśmiech dziewczyny zgasł niczym przesłonięte chmurą słońce.

– Chcę znać prawdę, proszę powiedz mi.

– Patrzysz na mnie... tak... – zaczęła niepewnie. – Boję się... Jestem inna... prawda? Nie taka... jak ty.

– Masz dar. Potrafisz uzdrawiać.

– Uzdrawiać? – zamyśliła się. Przez chwilę smakowała to słowo. – Uzdrawiać... – a potem jej oczy powędrowały do martwych ciał.

– I niszczyć – dodał Venur.

Dziewczyna chyba dopiero teraz zdała sobie sprawę, co tutaj zaszło. Otwarte usta przesłoniła dłońmi, nie odrywała przerażonych oczu od wszędobyłskiej krwi.

– Mieli tylko przestać... Chciałam, by... odeszli, dali nam spokój... Czy ja chciałam... tego?! – mamrotała niewyraźnie.

Być może nie, pomyślał, może wcale nie chciała. Ale potrafiła to zrobić, miała władzę nad innymi ludźmi podobną do tej Maga, a zatem była równie niebezpieczna jak on. Co teraz powinien z nią zrobić? Rzeczywiście, wstrząsnęło nią to, co uczyniła, z pewnością nie próbowała go zwieść. Przypominała dziecko w swych szczerych reakcjach, ale, podobnie jak dziecko, mogła być nieprzewidywalna. Czy prowadząc ją do Nereveii nie sprowadzał jeszcze większego niebezpieczeństwa na ojczyznę? Kto wie do czego była zdolna? Teraz, będąc naocznym świadkiem niewyjaśnionych zdarzeń, Venur był w stanie uwierzyć w opowieść mistrza o zniszczeniu Gammorynd. Ona może dokonać podobnych czynów, być może jeszcze nie teraz, lecz gdyby pozwolić jej nauczyć się w pełni korzystać ze swoich umiejętności...

W zamyśleniu zerknął na rękojeść przypasanego miecza.

– Ty... nienawidzisz mnie! – mówiła dalej dziewczyna. – Brzydzi cię... to. Myślisz, że jestem zła, bo... ja ich... Ale nie chciałam! Nie tak... Bałam się... widziałam, co chcą zrobić... w ich oczach. Mnie i... tobie...

Po coś jednak musiał tu przybyć, myślał dalej rycerz, nie wierzył, by bez żadnego celu przywiodło go tu Światło. Jego wielki sługa, mistrz Aledyian Trenhoborg na pewno został natchniony mądrością do wydania właśnie takiego polecenia. Zatem nie przez przypadek doszło do spotkania z dziewczyną. Walka z Ogiem była próbą wiary, a późniejsze uzdrowienie znakiem. Moc tej nieśmiałej panny była wielka, ale zarazem nieuporządkowana. W jej oczach lśniło dobro, potrzebowała jedynie kogoś, kto ją ukierunkuje, wskaże właściwą drogę i pomoże z niej nie schodzić. Dlaczego od razu o tym nie pomyślał? Dysponując podobnymi zdolnościami mogła pomóc zakonowi obalić Tigurila. Gdyby tylko zechciała, mogłaby służyć Światłu, ba, stać się nawet najpotężniejszą jego służebnicą! Venur nareszcie zrozumiał. Tutaj zaczynała się jego rola w tym spektaklu.

Dziewczyna tymczasem była bliska płaczu.

– Uwierz mi... ja nie jestem... taka. Nie chcę być... nie chcę... tego... sprawiać...

– Wiem – odrzekł rycerz. – Nie jesteś zła i nie uważam cię za taką. Z czasem na pewno nauczysz się dobrze korzystać ze swojego... daru.

Popatrzyła na niego z nadzieją.

– Nie zostawisz... mnie tu?

– Oczywiście, że nie. Pomogę ci, jak obiecałem. Pojedziemy do Nereveii, gdzie zaopiekuje się tobą zakon. To dobrzy ludzie, nikt nie będzie chciał cię tam skrzywdzić.

Otarła wilgotne oczy. Venur stłumił w sobie silne pragnienie, aby ją objąć.

– Jedźmy już. Wkrótce ktoś zacznie szukać tych nieszczęśników. Wytrzymasz jeszcze trochę? Odpocznijemy, gdy oddalimy się na bezpieczną odległość.

Wskoczył na koński grzbiet. Wyciągnął rękę, by pomóc jej wsiąść.

– Jeszcze jedno – rzekł. Dziewczyna popatrzyła niepewnie. – Powiesz mi teraz jak masz na imię?

Znów obdarzyła go nieśmiałym słodkim uśmiechem.

– Bjarka.

Odwzajemnił uśmiech.

– Bardzo ładnie. Ruszajmy zatem, Bjarko, jeszcze sporo drogi przed nami.

Ująwszy jego dłoń wsiadła na konia. Bezzwłocznie podjęli przerwana podróż.

*

Po długim czasie jazdy w nierównym terenie nawet rycerz miał już serdecznie dosyć, a co dopiero jego nienawykła do niewygód towarzysza. Z ulgą zatrzymali się pod lasem na tyle daleko od traktu, by nikt z przejeżdżających nie zdołał ich dostrzec. Najbardziej wdzięczne były pocziwe zakonne konie uwolnione od ciężaru jeźdźców. Venur napił je i pozwolił paść się swobodnie, a potem wraz z Bjarką usiadł chroniąc się przed ciepłym majowym słońcem pod drzewem. Z początku, gdy poczęstował dziewczynę wędzonym mięsem z suszonymi owocami i czerstwym chlebem nie chciała jeść, lecz skosztowawszy zabrała się do posiłku z nadzwyczajnym apetytem. Odpoczywali w przyjemnym chłodzie cienia rozkoszując się lekkim wietrzykiem, który niósł ze sobą intensywną woń leśnego poszycia.

– Venurze? Czy teraz ja mogę o coś zapytać? – odezwała się Bjarka.

– Oczywiście – odrzekł. Zachęcona usiadła nieco bliżej. Słodki zapach kwiatów znów pieścił węch rycerza.

– Jak... wygląda twoja ojczyzna, Nereveia? Jak tam jest?

Mówiła już coraz lepiej, wyzbyła się też nieco nieśmiałości. Oczy lśniły jej zaciekawieniem, chłonęła każde słowo, gdy rycerz opowiadał.

– To piękny kraj. Żyzny i z umiarkowaną pogodą. Panuje tam spokój; od dawna nie toczyliśmy wojen, a po pokonaniu dzikich ludów i przetrzebieniu zbójeckich band granice są bezpieczne. Czuwamy nad tym, my, rycerze zakonni w służbie króla... – Venur zawahał się. Wciąż trudno mu było przywyknąć do myśli o odsunięciu zakonu.

– A kim jest król?

– To nasz pan. Władca z rodu Nereveilów, potomek założyciela królestwa.

– Ale... – Bjarka weszła mu w słowo. – Po co on jest?

Rycerz uniósł brwi.

– Po co jest król?

– Dlaczego potrzebujecie pana? Czy Nereveia nie mogłaby obyć się... bez niego?

Venur przyjrzał się dziewczynie z niedowierzaniem, a gdy zobaczył jej poważny wyraz twarzy zaniósł się serdecznym śmiechem. Z początku zamrugła, nawet chyba lekko oburzona, lecz zaraz sama także zaczęła chichotać.

– Żadne państwo nie istniałoby bez władcy – odpowiedział poważniejąc. – Jak by ci to wytłumaczyć... Król jest dla Nereveiczików jak ojciec rodziny. Jak każdy ojciec dba o bezpieczeństwo, podejmuje decyzje, często niełatwe, egzekwuje sprawiedliwość, a, gdy trzeba, potrafi wymusić posłuch.

– I ludzie go słuchają?

– Tak.

– Słuchacie, gdy wydaje wam... rozkazy?

– Oczywiście.

Wydała się zdumiona.

– Wszystkie? A gdyby kazał ci kogoś zabić?

– Zabijałem już za koronę. Przysięgałem, że będę chronił ją od nieprzyjaciół.

– A gdyby kazał ci... zabić mnie?

Venur spojrzał w jej poważne jak nigdy oczy.

– Co też ci przyszło do głowy?

– Zrobiłbyś to? – nie odpuszczała.

Westchnął.

– Bjarko, bycie królem to nie tylko władza nad innymi. Zdobna korona wygląda na lekką, ale zawiera w sobie ciężar niewyobrażalnej odpowiedzialności. Ja sam nie zdołałbym go udźwignąć, choć nie brak mi siły. Potomków Nerevila wybrało do rządzenia Światło i przez wieki utwierdzało na tronie, jak również potrafiło z niego zrzucić, gdy nie wypełniali jego woli.

– A zatem odmówiłbyś, gdyby wydał ci taki rozkaz?

– Cóż byłby ze mnie za mężczyzna, gdybym podniósł rękę na kobietę? Zwłaszcza tak miłą, jak ty.

Lekko się zarumieniała i uciekła spojrzeniem, ale pytała dalej.

– Czym więc jest Światło, skoro jest ponad władzą króla? Czy... uczy was jak macie postępować?

– Tylko ludzie honoru dostępowali jego objawienia. Biorąc z nich przykład, wiemy, że postępujemy słusznie.

Venur opowiedział jej pokrótce o uznanych manifestacjach Światła i historii królestwa. Bjarka słuchała zafascynowana.

– Ja... nie rozumiem, Venurze – powiedziała gdy skończył. – Skąd możesz wiedzieć, że ono w ogóle istnieje? Do ostatniej manifestacji doszło wiele lat przed twoim narodzeniem.

– Historyczne zapiski z pewnością nie kłamią.

– Ale nikt z was nie widział na własne oczy takich wydarzeń, jak ich bohaterowie.

– Na tym polega siła wiary. Światło dało nam przecież ukochaną ojczyznę i z pewnością ujawni się po raz kolejny, gdy zajdzie taka potrzeba. W porównaniu z nim jestem ledwie pyłem, jak mógłbym próbować ogarnąć tak ograniczonym rozumem jego zamysły?

Bjarka pokręciła głową.

– Dalej nie rozumiem. Pokładasz w nim taką ufność... A gdyby okazało się, że Światła... wcale nie ma?

Odchrząknął głośno powstrzymując cisnącą się na usta reprimendę. Zauważyła to.

– Przepraszam... nie chciałam powiedzieć...

– Nie musisz przeproszać. Przecież mój lud nie jest ci znany. Jeśli będziesz chciała, opowiem ci więcej o naszych wierzeniach.

Kiwnęła potakująco głową.

– Ale jeśli nie znasz Nereveii, skąd zatem przybyłaś, Bjarko? – ciągnął rycerz. – Na pewno nie z Abzgar-du, ani zachodnich królestw i raczej nie z gór. Powiedz mi skąd pochodzisz.

– Mówiłam już...

– Widzę, że czujesz się lepiej. Może coś więcej ci się przypomniało?

– Mówiłam! – podniosła nagle głos. – Tam była ciągle noc...

– Nie bój się – rzekł Venur widząc, jak skuliła ramiona. – Chcę tylko dowiedzieć się czegoś o twojej przeszłości: gdzie dorastałaś, kim jest twój ojciec, jak żyje twoja rodzina...

– Nie wiem! – wykrzyknęła Bjarka. Błękit jej oczu zaszedł wilgocią. – Moja rodzina to gwiazdy i ciemna noc! Urodziłam się... nigdzie! Nie mam... nikogo... – niespodziewanie wybuchnęła płaczem.

Zdumiony rycerz patrzył, jak łkając ukrywa twarz w dłoniach. Jakaż to okrutna krzywda musiała spotkać tę panienkę, że aż tak próbuje wyrzucić ją z pamięci? – pomyślał czując się nieco winny.

– Wybacz, nie chciałem sprawiać ci przykrości.

Pocieszającym gestem dotknął drżącego od płaczu ramienia Bjarki, a ona natychmiast przyłgnęła do niego. Venur objął ją. Łzy dziewczyny powoli ciekły na jego naznaczony krwią tabard.

*

Wieczorem zjechali nieco z traktu. Venur wolał nadłożyć drogi i zatrzymać się na noc gdzieś na uboczu, niż ryzykować, że natrafią na kogoś podążającego ich śladem z Kasmajan. Prawdopodobnie był to zbytek ostrożności, ale nie mógł całkowicie wykluczyć, że śmierć Bannuha Mronotha nie zostanie powiązana z jego osobą.

Spojrzenia miejscowych, będące mieszaniną niechęci i zaskoczenia, towarzyszyły im ledwie tylko wjechali do wsi. Wewnątrz biednej karczmy kilku podpitych chłopów miało wyraźnie ochotę nie poprzestać tylko na tym, lecz zrezygnowali widząc na piersi przybysza tabard pokryty krwawymi śladami. Natrętów odstraszał też z pewnością długi miecz Venura, na którego głowicy nonszalancko opierał lewą dłoń rozmawiając z właścicielem przybytku. Nie przedstawiał mu się, nie musiał. Herb z rękawicą mówił wszystko o rycerzu i jego giermku, tak bowiem została przedstawiona Bjarka skrywająca swą urodę pod męskim zbyt obszernym odzieniem, a długie włosy pod kapturem. Wszystko to pozwoliło uniknąć kolejnych incydentów i spokojnie spędzić noc w izbie gościnnej.

Rankiem zjedli posiłek w przybytku i ruszyli w dalszą drogę; jeszcze przed południem opuścili Abgzard. Czując jak schodzi z niego nieuświadomione napięcie, Venur odetchnął głęboko ledwie tylko postawił stopę na ojczystych ziemiach.

– Oto jesteśmy w domu. Witaj w Nereveii, Bjarko. – rzekł pogodnie do towarzyszki.

Znów pozdrawiali ich mijani podróżni, chłopci kłaniali się uprzejmie, gdy przejeżdżali przez wsie. By uniknąć kłopotliwych pytań, dziewczyna dalej skrywała twarz pod kapturem.

Jadąc, rycerz zastanawiał się nad dalszymi krokami. Wczoraj wszystko wydawało mu się jasne – w nieco inny sposób, ale wypełnił zadanie, dla którego został wysłany – tego ranka jednak, gdy się przebudził, wraz z nim obudziły się wątpliwości. Bjarka zaufała mu. Obiecał jej bezpieczeństwo i opiekę, a ona pozwoliła się prowadzić. Nie skłamał, lecz nie powiedział też wszystkiego. Gdy rankiem w abgzardzkiej

karczmie patrzył na jej pogrążone we śnie niewinne oblicze, bezgłośnie zadał sobie pytanie, czy miał prawo narażać tę dziewczynę na niebezpieczeństwo oraz, co ważniejsze, czy był gotów to zrobić. Czy możliwe było, aby Światło złożyło los królestwa na wiotkich barkach tajemniczej niewiasty? Od zawsze – pomijając niepotwierdzone manifestacje oficjalnie nieuznawane przez zakon – jego pomoc przychodziła wyłącznie do rycerstwa. Byłaby to zaiste wielka zmiana w jego nieprzeniknionych zamiarach. Venur zamierzał niezwłocznie po przybyciu porozmawiać o tym z wielkim mistrzem, mając równocześnie świadomość tchórzliwości takiego posunięcia. Tylko on odpowiadał za Bjarkę i powinności wobec królestwa, choć były ważniejsze, nie zwalniały go z obietnicy. Prowadząc konie patrzył na siedzącą przed nim drobną dziewczynę, która rozglądała się ciekawie po okolicy nieświadoma wątpliwości rycerza.

Z początku onieśmielona Bjarka poczęła z czasem zasypywać wręcz rycerza pytaniami. Bardzo zaciekał ją mijany wiejski dwór.

– Jak to możliwe? – zapytała wysłuchawszy wyjaśnień rycerza. – To cały kraj nie należy do króla?

– Oczywiście. Korona nadaje ziemię za zasługi. Miejscowy szlachcic włada nimi, lecz pozostaje poddanym władcy.

– A ci pracujący chłopci?

– No... pracują. Płacą panu czynsz i oddają część zbiorów – Venura zaskoczyła nieco konieczność tłumaczenia takich spraw.

– Dlaczego pracują na niego?

– A kto ochroni wieś przed złupieniem, gdy przyjdą rozbójnicy albo nadejdzie wojna? Ktoś musi też egzekwować prawo.

– Mówiłeś, że nie prowadzicie już wojen.

– W tej chwili nie. Nigdy jednak nie wiadomo, co przyniesie przyszłość – odpowiedział Venur z bolesną świadomością nadciągających wydarzeń.

Zastanawiała się przez moment.

– Skoro szlachcic sam otrzymał ziemię w uznaniu zasług, czy może ją także podarować chłopu za uczciwą pracę?

Venur uśmiechnął się pod nosem.

– Zdarza się, że chłopci bywają werbowani do zbrojnych drużyn. Gdyby zasłużył się w boju, mógłby zyskać uznanie pana. Zazwyczaj jednak ich życie wypełnia praca na roli.

– To... nie jest sprawiedliwe – powiedziała z lekkim oburzeniem – Jest ich tak wielu w kraju, a tak niewiele mają praw. Prawie nic nie posiadają pomimo ciężkiej pracy. Spójrz jak mieszkają, a jak mieszka ich pan.

– Bjarko, tak po prostu jest. Dobrze, że pojechaliśmy inną drogą i nie widziałeś wsi na obrzeżach Abgardu. W porównaniu z nimi, tutejsze kmiotki żyją naprawdę dostatnio. Na dalekim południu zaś, gdzie ka-

pryszna pogoda w jednej chwili potrafi zniszczyć całe zbiory atakiem gwałtownej burzy, życie jest jeszcze cięższe. Każdy ma swój los i musi go przyjąć, czy mu się podoba, czy nie.

– Ale jestem pewna, że nie zamieniłbyś swego życia, na życie któregoś z nich – stwierdziła wskazując palcem postaci na polu.

Venur pierwszy raz usłyszał w jej głosie złość.

*

Po nieomal dwóch dniach przebyli połowę drogi do stolicy. Wieści, które doszły uszu Venura, gdy zatrzymywali się w karczmach były niepokojące. Bojowe nastroje wśród ludu, zauważalne już, gdy wyjeżdżał, jeszcze przybrały na sile. Podobno król Enzetel wygłosił mowę do mieszkańców stolicy w ostrych słowach informując o prowokacjach dokonywanych na zachodnich granicach. To już nie były czcze pogroźki. Sam władca, choć nie w bezpośrednich słowach, zapowiedział zdecydowane działania. Podobno użył sformułowania o "wyczerpującej się formule postanowień traktatu pokojowego z Naghaard i konieczności ich zmiany w ten, czy inny sposób". Wszyscy wiedzieli, co to oznaczało, słowo wojna nie musiało nawet paść.

Do tej pory, zgodnie z zaleceniem mistrza, Venur omijał północny gościniec. Zdecydował się pojechać nim, gdyż nieopodal znajdowała się posiadłość zakonna Rojenwald. Zmartwiony zasłyszanyymi nowinami zamierzał zasięgnąć tam języka w nadziei na dalsze informacje ze stolicy.

Dom zakonny stał pośród pól uprawnych mających zaspokoić jego skromne potrzeby. Tutaj nie kwatowano rycerzy; Rojenwald zamieszkiwali emerytowani bracia, którzy, póki starczało im sił, pracowali na rzecz zakonu ucząc nowicjuszy oraz zdobywając fundusze poprzez sprzedaż swych wyrobów rzemieślniczych w pobliskich miejscowościach.

Na trakcie napotkali wlokącą się powoli karawanę wozów kupieckich zmierzających zapewne do stolicy. Posępni najemnicy chroniący tabor nieznacznie skinęli im głowami. Wyprzedziwszy ich Venur i Bjarka zjechali z traktu w stronę skrytej w cieniu dębów ścieżki, która prowadziła do widocznych w oddali zabudowań gospodarczych zakonnej posiadłości. Jadąc w przyjemnym chłodzie Venur zastanawiał się, jakież to wieści czekają go na miejscu. Wydarzenia zaczęły nabierać tempa od czasu jego podróży na tereny olbrzymów. Tiguril nie tracił czasu.

– Venurze, ktoś tu jest! – szepnęła nagle zaniepokojona Bjarka.

W tym samym momencie zza pobliskiego dębu wyłonił się nędznie ubrany mężczyzna. Przeklinając w myślach swą nieuwagę, rycerz sięgnął po ukryty nadziak.

– Venur Lisyllwar? – odezwał się nieznajomy.

– A ty kim jesteś? – odpowiedział zaskoczony pytaniem Venur. Zatrzymał konie.

– Czekam tu na ciebie, bracie. Dostaliśmy wiadomość od mistrza, że możesz się zjawić – mówiąc to mężczyzna wydobył coś z leżącego u jego stóp tobołka. Był to zakonny tabard.

Przybysz był raczej niewysoki, niegdyś zapewne muskularny, obecnie jego sylwetka zdradzała, że brakuje mu nieco ruchu. Miał krótkie siwe włosy i przenikliwe oczy, które z pewnością widziały niejedno.

– Jestem Hanner Sterglis – ciągnął – ukrywam się od dwóch dni. W okolicy ciągle można spotkać królewskie oddziały, więc radzę ci nie pokazywać się z tym – z powrotem ukrył tabard.

– Jak to ukrywasz się? Co tutaj zaszło? – Venur poczuł nieprzyjemny dreszcz na dźwięk tych słów.

– Przedwczoraj przybyli żołnierze. Jesteśmy już niemłodzi i odwykli od walki, nie daliśmy im rady. Przeor kazał tym, co zdołają uciekać do lasu. Aresztowali go.

– Co?!

– Zabili wszystkich stawiających opór. W imieniu korony zajęli dom. Ten i, jak należy przypuszczać, wszystkie pozostałe.

– Czy wielki mistrz...?

– Zapewne siedzi w lochu wraz z rycerzami zakonnymi, których udało się wziąć żywcem. Nie ma już Zakonu Światła, bracie. Decyzją króla Enzetela uległ rozwiązaniu, a całe jego mienie konfiskacie.

Venur poczuł się, jakby otrzymał cios w żołądek.

– Jest nas czterech, mamy broń – ciągnął Hanner. – Dom jest pod strażą, ale póki co niezbyt liczną. Jeśli nam pomożesz wdrzemy się do środka, zabierzemy zapasy i konie, a potem ruszymy w drogę. W Ker-ryton z pewnością ktoś też uszedł z oblawy. Spróbujemy zebrać ocalałych.

– To niemożliwe. Król... rozwiązał zakon?! Jak mogło do tego dojść?!

Starszy zakonnik westchnął.

– Nie wiem, bracie, nie mamy żadnych wieści ze stolicy. Widziałem jedynie pismo, które przynieśli żołnierze. Byli przygotowani, że stawimy opór, ktoś musiał zaplanować te działania dużo wcześniej.

Tak właśnie było, pomyślał zszokowany Venur. Mag wprowadza w życie swój plan. Teraz nikt już nie będzie w stanie mu przeszkodzić. Nikt, poza...

– Muszę jechać, bracie – powiedział zwracając konie.

– Dokąd pojedziesz? Twoje zadanie, cokolwiek nim było, jest już bez znaczenia. Jeśli pojawisz się w stolicy aresztują cię. Chodź z nami, musimy ratować co się da z zakonu!

– Ukryjcie się i starajcie przetrwać, to najlepsze, co możecie teraz uczynić. Jeśli Światło pozwoli, nadejdą jeszcze lepsze dni dla królestwa.

Ruszył ostro – aż Bjarka zakołysała się na końskim grzbiecie – tą samą drogą, którą tu przybył, nie zważając na dalsze nawoływania Hannera Sterglisa, jednak jeszcze nim opuścili zacienioną ścieżkę Venur zatrzymał konie.

– Venurze, co znaczą słowa tego człowieka? – spytała zaniepokojona dziewczyna.

Rycerz nic nie odrzekł. Gwałtownie zdarł z siebie zakonny tabard, złożył starannie i schował do tobołka.

– Niech Światło mi wybaczy – wyszeptał, po czym wjechał na gościniec.

VI. Ci, którzy przychodzą znikąd

"(...) Gdy pod blokiem kamiennym spoczną pokonany,

niech po wieki złocisty blask spoczywa na nim."

Szczęśliwie dla nich gospoda, w której się zatrzymali była zatłoczona, dzięki czemu nie wzbudzali nadmiernego zainteresowania. Teraz, gdy na piersi Venura nie widniał już tabard, reagowano na niego zupełnie inaczej. Przedstawiciele szlachty zazwyczaj nie cieszyli się szacunkiem wśród prostego ludu, co pogłębiły jeszcze bardziej nadawane im przez króla Enzetela przywileje. Przez ostatnie miesiące jego panowania otrzymali między innymi gwarancję dziedziczenia ziemi, co zdecydowanie umacniało panowanie szlacheckich rodów. Majątki uzyskały też status nietykalności do czasu prawomocnego wyroku sądu, chłopom zaś ograniczono swobodę przenoszenia się do miast i zaostrzono kary dla zbiegów. Podatki na rzecz korony zostały podniesione, a tak zwane prawo pierwszej nocy, dotychczas będące jedynie regionalnym zwyczajem, stało się oficjalnym prawem pana, od którego jednakże chłopska rodzina mogła się wykupić. Na przyszłe zamiary monarchy jednoznacznie wskazywało podniesienie żołdu za wyprawy zagraniczne, zwiększenie udziału w łupach oraz zobowiązanie do wykupienia rycerza z niewoli.

Venur i Bjarka siedzieli w kącie gospody nad talerzem stawy. W gwarze rozmów na sali mogli mówić swobodnie.

– Jesteś zmartwiony, Venurze – zauważyła dziewczyna. – Ten człowiek przyniósł złe wieści, prawda?

Rycerz pokiwał smętnie głową apatycznie skubiąc jedzenie.

– Jest gorzej niż przypuszczałem. Opowiadałem ci wcześniej o zakonie i jego roli w historii Nereveii. Wystarczył jeden królewski dokument, by wszystko to przekreślić. Ci, którzy od wieków trwali na służbie korony, z dnia na dzień stali się banitami. Polują na nas jak na zbójców. Słyszałem, co ludzie tu mówią. Wielki mistrz zakonu został oskarżony o spisek przeciw królowi i aresztowany.

– Dlaczego król tak postąpił?

Venur popatrzył w jej cudownie błękitne zatroskane oczy.

– Wybacz, Bjarko, nie powiedziałem ci wszystkiego. Na ziemie olbrzymów przysłano mnie z zadaniem

wielkiej wagi. Miałem pozyskać ich do pomocy, ze względu na ich wrodzone cechy. Taki był zamysł wielkiego mistrza, nie przewidział on jednak, że wydarzenia potoczą się tak, jak się potoczyły. Ja zaś nie przewidziałem, że Światło przybędzie mi z pomocą zsyłając ciebie.

Uśmiechnęła się skromnie. Gestem wyrażającym zakłopotanie przeczesła długie włosy. Jakże była krucha, pomyślał rycerz, jak delikatna, a równocześnie przepelniona tajemniczą siłą mogącą czynić cuda. Choć zdecydował już wyznać jej wszystko, ciągle bił się z myślami. Istniało ryzyko, że dziewczynie stanie się krzywda, może nawet zginie. Na samą myśl o jej utracie, wewnątrz Venura przeszył nagły ból. Mówił dalej zaskoczony nieco własną reakcją.

– Zeszłej jesieni pojawił się w Nereveii pewien człowiek... – opowiedział jej wszystko, co było wiadome na temat Tigurila Bronnhawa. Gdy skończył, Bjarcie wyraźnie udzieliło się jego zmartwienie.

– Chcesz powiedzieć, że ten Mag jest... podobny do mnie, prawda?

– Wiele na to wskazuje.

– Ale... ja nie jestem taka. Nie chcę taka być! Musisz mi uwierzyć, ja nigdy nie zrobiłabym... – urwała, gdy Venur ujął jej dłoń.

– Wiem. Nie jesteś zła, Bjarko, a już na pewno nie dlatego, że masz ów dar. Myślę, że ani ty, ani Tiguril nie urodziliście się z takimi, czy innymi inklinacjami. Oboje macie wybór i dokonujecie go w każdej chwili, gdy używacie swych zdolności. On zdecydował, z sobie tylko znanych powodów, odebrać nam nasze najcenniejsze dobro, nasz skarb, który pielęgnujemy wspólnie od setek lat. U ciebie zaś, Bjarko, dostrzegam poczucie sprawiedliwości, może nieco wyidealizowane, ale niewątpliwie szczere. Chociaż mnie nie znałaś, przysłałaś mi z pomocą. Uratowałaś mi życie. Uratowałaś nas, gdy drogę zagrodzili nam Abgzardczycy. Dzisiaj muszę... poprosić cię o pomoc raz jeszcze.

– Mnie? – cicho spytała zaskoczona.

– To nie król rozwiązał Zakon Światła. Enzetel nigdy by tego nie zrobił. Za tym i wieloma innymi działaniami stoi wola Maga. Teraz, gdy nie ma już nas przy tronie, ma wolną rękę, by osiągnąć swe cele. Wszystko wskazuje na to, że pierwszym z nim będzie wywołanie wojny na zachodzie.

– Ale co ja mogę? Skoro, jak mówisz, Tiguril jest tak potężny, ja... nie jestem w stanie mu się przeciwstawić. Nie potrafię... ja...

– Oczywiście, że potrafisz. Mistrz Aledyian powiedział mi coś o waszych zdolnościach. To kwestia woli. Zwyczajnym ludziom, jak mnie, służy ona do kierowania samym sobą; żeby wykonać jakąkolwiek czynność, musimy najpierw tego chcieć. Ty swoją wolą możesz bezpośrednio oddziaływać na świat. Jeśli tylko zechcesz, jeśli okażesz wystarczająco silną wolę, będziesz mogła sprawiać to samo, co Tiguril.

– On zniszczył całe miasto. Ja nie jestem aż tak... silna.

– Wróciłaś mi życie. Wyrwałaś mnie z rąk samej śmierci! Czym w porównaniu do tego jest zburzenie najwyższych nawet murów? Zrozum, Bjarko, możesz wszystko zmienić! Los poddanych w Nereveii za panowania Maga będzie straszny. Gdy zaczniesz zbierać zapasy na wyprawę wojenną, nie będzie miał skrupułów. Wsie dotknie głód, już teraz dołożył im obciążen. Ziemie zachodnich królestw spłyną krwią.

Nasze rycerstwo, utwierdzone przez władcę w poczuciu bezkarności i rozpieszczane przywilejami, będzie gwałcić i rabować. Piechota złożona z byłych więźniów walczących w zamian za darowanie kar będzie bezlitosna. Wojny najbardziej dotyczą prosty lud, przetaczają się przez wsie i miasteczka, które nie mogą skryć się za warownymi murami, niczym najgwałtowniejsze burze. Miałś rację, nie każdemu w tym kraju żyje się tak dobrze, jak mnie. Jednakże, jeśli pozwolimy dalej działać Tigurilowi, te okropieństwa bez wątpienia nadejdą i sytuacja na tych ziemiach pogorszy się na wiele lat.

Bjarka miała łzy w oczach. Głos jej drżał, gdy mówiła.

– Nie, to zbyt... wiele. Nie jestem taka, jak ty, Venurze, nie mam twojej odwagi. Nie mam w sobie twojej... wiary.

– To nic. Pamiętaj, że cały czas będę przy tobie. Teraz już wiem, że to tobie Światło powierzyło zadbanie o los królestwa, mnie zaś wybrało, bym cię poprowadził.

– Boję się.

Venur wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. Uśmiechnęła się smutno, a pojedyncza łza spłynęła jej po twarzy.

– Wiem. Ja też się boję. Ale wiedz, że nawet gdyby Tiguril nas pokonał, nigdy, ale to nigdy nie zdoła pokonać Światła.

Wyjaśnił jej co chce zrobić.

– I... pójdziesz tam ze mną? – spytała, gdy skończył.

– Oczywiście. Obiecałem zaopiekować się tobą i nie zamierzam łamać danego słowa.

*

Zaledwie na kilka dni opuścił stolicę, a już zdążyła zajść w niej zauważalna zmiana. Coś wisiało w powietrzu i nie wnioskował o tym jedynie z powodu przemykających pospiesznie i unikających kontaktu wzrokowego ludzi. Venur nigdy jeszcze nie widział tylu żołnierzy na ulicach miasta. Gdy prowadził konie do bram miejskich, strażę były dużo liczniejsze niż zwykle i szczegółowo sprawdzały wjeżdżających. Wraz z Bjarką czekali w długim sznurze podróżnych, mając przed sobą wyładowany towarem wóz jakiegoś pomniejszego kupca.

– Co się tak guzdrzecie, ile można tu czekać?! – krzyknął rycerz do przeszukujących wóz żołnierzy.

Teraz występował jako zwykły szlachcic, odgrywał zatem rolę przywykłego do luksusów bufona, jakich nieraz dane mu było spotykać. Przybrał zniecierpliwioną minę mówiącą jak wielkie cierpienie sprawia mu przebywanie w takim towarzystwie. Zagadnięty gwardzista podszedł do niego przyglądając się uważnie.

– To zarządzenie króla, panie. Wszyscy wwożący towar do miasta mają być sprawdzani – oznajmił.

– Nie będziesz mi brudnymi łapskami grzebał w moich rzeczach, kundlu. Odsuń się. Jadę z pilną sprawą.

– Proszę wybaczyć, ale to dotyczy wszystkich.

– Myślisz, że jak nosisz ten mundur, to trochę władzy dostałeś?! Ty sobie chyba nie zdajesz sprawy kim ja jestem, wszarzu. Jedno moje słowo i od jutra będziesz żebrał pod domem zakonnym!

Żołnierz zawahał się.

– Muszę spytać dowódcy...

– A pytaj sobie nawet Marszałka Koronnego, ale najpierw zejdz mi z drogi! Dosyć już straciłem czasu przez twoją gadaninę! – powiedziawszy to Venur bezpardonowo przejechał obok zatrzymanego wozu po-krzykując gniewnie na ustępujących przed nim żołdaków.

Pojechali dalej ulicami miasta nie niepokojeni już przez nikogo. Gdy zostawili bramy nieco za sobą, Bjarka odwróciła się w siodle posyłając Venurowi pytające spojrzenie. Rycerz uśmiechnął się szelmowsko.

– "Zawsze lepiej słowem, niż mieczem, byle nie za wszelką cenę", jak mawiał król Nerevil. – zaraz jednak spowaźniał. – Spójrz, to zamek królewski. – pokazał dziewczynie górujące nad miastem wieże.

– Nigdy nie widziałam takich budowli. Wszystko tu jest... wielkie. Te mury, szerokie ulice. Ile tu jest ludzi!

– Bjarko, jesteś gotowa?

Westchnęła nerwowo. Gdy Venur położył jej dłoń na ramieniu w pokrzepiającym geście, poczuł jak drży.

– Pamiętaj, że będę cały czas z tobą. Nie pozwolę, by spotkało cię coś złego.

Tylko pokiwała głową. Wszystko zależało teraz od niej i doskonale o tym wiedziała.

*

Zdumienie na twarzach strażników pełniących wartę przy bramie zamku było bezbrzeżne. Świetnie wyszkoleni, natychmiast opuścili halabardy do bojowej postawy.

– Stój! – krzyknął jeden z nich.

Venur nawet nie zwolnił. Jego pierś znów zakrywał zakonny tabard. Powrócił na prawowite miejsce, skąd nigdy nie powinien schodzić, podobnie jak na swe miejsce musi powrócić sam zakon. Szedł pewnym krokiem wprost ku bramie bez słowa patrząc gwardzistom w oczy. Zawahali się wobec jego beczelnej postawy, ale tylko przez moment. Lśniące w promieniach słońca szpice ich broni mierzyły prosto w pierś rycerza.

– Pójdziesz z nami, zakonniku – zdążył jeszcze powiedzieć strażnik, nim znieruchomiał sztywno wyprostowany.

Oblicza Bjarki nie przesłaniał już kaptur. Patrzyła spod przymkniętych powiek, jak dwóch roślących mężczyzn w zbrojach kolczych staje przed nią na baczność. Venur odsunął halabardę na bok i stanął przed najbliższym. Miał nieprzytomne oczy, patrzył jakby przez rycerza.

– Otwieraj bramę – polecił.

Strażnik bezzwłocznie wykonał polecenie.

– Powiedz nam, gdzie są komnaty Królewskiego Maga.

Monotonnym głosem poinstruował w którym skrzydle Tiguril ma swoją siedzibę, jak tam trafić i ilu jeszcze wewnątrz jest strażników.

– Poradzisz sobie? – spytał Venur dziewczyny.

– Lepiej się pospieszmy. Nie wiem jak długo... to potrwa – odrzekła z nieruchomymi sennymi oczami.

Wkroczyli do chłodnego holu. Tam czekali kolejny strażnicy, lecz natychmiast znieruchomieli dzieląc los tych z zewnątrz. Zadziwiające, pomyślał rycerz, stłamszenie ich woli nie wymagało od Bjarki żadnego widocznego wysiłku.

Szli prędko, echo ich kroków odbijało się w długim przedsionku. Rycerz śmiało pchnął drzwi i znaleźli się w wielkiej sali balowej, przez którą przeszli wśród zdumionych spojrzeń kręcącej się służby. Wnętrze lśniło przepychem, lecz nie mieli czasu go podziwiać. Straż stojąca przy kolejnych drzwiach nawet nie zwróciła na nich uwagi, gdy ich mijali. Kolejna była sala obrad Rady, przez którą dostali się do komnaty tronowej.

Bez przeszkód przemierzali zamek chronieni mocą Bjarki. Zgodnie z instrukcjami strażnika dotarli do zachodniego skrzydła, gdzie schody zaprowadziły ich do komnat mieszkalnych. Wspinając się nimi rycerz zerknął na dziewczynę, lecz jej beznamienne oblicze nie wyrażało niczego. Zadrżał uświadamiając sobie, jak bardo przypominała teraz Maga. Korytarzem na drugim piętrze ciągnął się po jednej stronie rząd drzwi do komnat, z drugiej zaś były okna wychodzące na wewnętrzny dziedziniec. Byli prawie na miejscu.

Kiedy wkroczyli na korytarz, tuż obok wyłonił się nagle królewski strażnik. Był szybki, niemal zdążył dobyć miecza, nim zamarł w bezwolnym bezruchu.

– Wyskakuj – rozkazał mu Venur.

Mężczyzna bez sprzeciwu natychmiast podszedł do otwartego okna i rzucił się w dół. Zszokowana Bjarka spojrzała na rycerza.

– Dlaczego to zrobiłeś?!

– Nie mógł tu zostać, komnata Maga jest już blisko. Chodźmy, nie ma czasu – odrzekł niecierpliwie.

– Ale on... nie był winien. Nie powinien był umrzeć.

– Oddał swe życie w służbie królowi, trudno o piękniejszą śmierć. Pomimo...

– Ciebie może nie czekać równie chwalebna, zakonniku – przerwał mu nagle beznamiętny głos.

Venur gwałtownie odwrócił głowę, wściekły, że dał się zaskoczyć. Mówiący te słowa mężczyzna akurat wyszedł z komnaty, gdy rozmawiali z Bjarką i teraz stał jakieś trzy metry od nich. Jego senne, przymknięte oczy spotkały się z oczami rycerza. Tiguril Bronnhaw uniósł brwi.

– Jestem zdumiony – rzekł. – Byłem pewien, że królewskie oddziały wylapały już wszystkich zdrajców, a tym czasem jeden z nich wałęsa się po królewskim zamku. Jego Królewska Mość będzie musiał prze-myśleć, czy aby wybrał do tego zadania odpowiednich ludzi.

Mag był opanowany jak zawsze. Ze starannie zaczesanymi na bok włosami, nienagannie ogolony, ubrany w ciemny dublet stał spokojnie splótszy dłonie za plecami. Nie nosił broni, ze swymi umiejętnościami nie była mu potrzebna.

– Dziwi cię, panie, że przyszedłem po ciebie? – odparł Venur. – Myślisz, że zniszczyłeś mój zakon? Przysięgałem wierność królowi i tylko jego rozkazów będę słuchał.

– Król Enzetel rozwiązał Zakon Światła, nie ja. Dopuszciliście się zdrady stanu, a ty, rycerzu, przychodząc tutaj popełniłeś kolejne ciężkie przestępstwo. Za próbę zamachu na członka Królewskiej Rady zostaniesz wydany w ręce katów i będziesz długie godziny wył w męczarniach, nim przyjdzie ukojenie w zasłużonej śmierci.

– Jestem gotów przyjąć każdą karę, pod warunkiem, że i ty odpowiesz za to, co uczyniłeś królestwu. Ale nie będę polegał na katach. Niosę ci sprawiedliwość w imieniu samego Światła.

Szelest dobywanego miecza poniósł się echem po korytarzu. Jeśli zrobiło to jakiekolwiek wrażenie na Magu, nie okazał go ani na jotę. Venur zacisnął palce na rękojeści i ruszył unosząc ostrze do ciosu. Zdołał zrobić ledwie krok, zanim uderzyła w niego fala paraliżującego zimna. Nagły szok przeszył go do szpiku kości, jakby został wrzucony do lodowatej wody. Zrodzony w jego wnętrzu krzyk nie wyszedł na zewnątrz, gdyż nie był już w stanie otworzyć ust. W jednej chwili ciało przestało należeć do niego, stracił nad nim władzę niczym odcięta od prowadzących sznurków marionetka. Pozbawiony wpływu mógł tylko patrzeć, podobnie do oglądającego przedstawienie widza, na własne ramiona opuszczające długi miecz.

– Tak, wasze legendarne Światło – powiedział Tiguril nie uczyniwszy nawet najdrobniejszego gestu w stronę rycerza. – Wiele na ten temat myślałem obserwując wasz lud i doszedłem do wniosku, że ono tak naprawdę nie ma tu nic do rzeczy. Przecież wcale nie istnieje. Na ironię zakrawa fakt, że kamieniem węgielnym tego potężnego królestwa jest mit o plemiennym wodzu i jego świecących wojownikach. Jednak sama historia też nie ma znaczenia. Najważniejsza jest wiara. Ona daje ludziom nieprawdopodobną siłę, tym większą, im bardziej absurdalne są związanie z nią opowieści. Widzę ją w twoich oczach, rycerzu. Gdyby nie twoja wiara, nigdy nie dotarłbyś aż tutaj. Zdumiewająca potrafi być moc przekonań. Jednak zarówno ja, jak i twoja towarzyszka – pierwszy raz spojrzał na Bjarkę uśmiechając się przy tym nieznacznie – wiemy, że silniejsza od nawet najgorliwszej, czy wręcz fanatycznej wiary... – nagle jego uśmiech zniknął, oczy skupiły się na dziewczynie – ... jest wola!

Venur popatrzył na stojącą po jego lewej stronie Bjarkę. W swym wnętrzu był bezsilnie na widok jej przerażonej twarzy nie mogąc zrobić nic, by przyjść jej z pomocą. Tiguril Bronnhaw zwracał się teraz do niej. Od razu rozpoznał w niej podobną sobie, nie było co do tego wątpliwości, może nawet spodziewał się jej przybycia.

– Ty także jesteś tutaj dzięki wierze tego dzielnego rycerza. Gdy, wraz z upadkiem zakonu, zawiodło go przekonanie o opiekuńczej mocy Światła, był gotów uwierzyć we wszystko, byle tylko zyskać obietnicę ratunku. No i znalazł ją. Uwierzył w ciebie.

Mag powoli podszedł do okna nonszalancko obracając się do Venura plecami. Przez chwilę wyglądał na zewnątrz. Dziewczyna zaś patrzyła bezradnie na rycerza sparaliżowana strachem. Nie mógł jej objąć, choć bardzo chciał, nie mógł jej pokrzepić słowem otuchy. Bjarka była zdana wyłącznie na siebie.

– W ten sposób popełnił drugi raz ten sam, tym razem fatalny, błąd – ciągnął monotonnym głosem Mag.
– Postawił wszystko na sprawę pozbawioną elementarnych podstaw. To akurat jest dla mnie zrozumiałe, poznałem dość dobrze historię Nereveii, która pełna jest marzycieli podobnych jemu. Ale co robisz tutaj ty, piękna panno? – znów odwrócił się do Bjarki.

– Przestań. Wypuść... go – powiedziała słabo. Tiguril jakby jej nie usłyszał.

– Gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach... – westchnął teatralnie. – Dałaś się stłamsić obietnicami tego nieudacznika. Mając w sobie tak wielki potencjał roztrwonilaś go, zamiast przyjąć jako przyrodzony dar. Aż szkoda, gdy tak się na to patrzy, jakąż szkodę wyrządziłaś sama sobie. Tylko jedno chcę wiedzieć. Powiedz mi proszę: w imię czego?

Przypomnij sobie! – krzyczał w myślach do dziewczyny Venur. – Przypomni sobie, co ci mówiłem! I nagle wyraz twarzy Bjarki zmienił się. Zmarszczyła brwi, jasne oczy popatrzyły twardo.

– Nie będziesz dłużej krzywdził mieszkańców tego kraju. Nie zasługują, by rządził nimi... tyran. Jakikolwiek. – powiedziała cicho.

– Więc to o nich chodzi. Doprawdy, muszę ci pogratulować, zakonniku. Zaszczepiłeś w niej słabość z zapalem godnym lepszej sprawy, choć nieco mnie to zaskakuje. Zdajesz się zapominać o historii własnego kraju. Dzieje Nereveii unurzane są we krwi prostego ludu, o który tak troszczy się twoja przyjaciółka. Wasz patron, Nerevil, wyrzynał mieczem wszystkich, którzy nie chcieli mu się podporządkować, jego następcy zaś, wcale mu w tym nie ustępowali. Wybiliście do nogi południowe plemiona, wycięliście w pień niepokornych na całym wschodzie, aż do gór Achne'mur. Pokojowych olbrzymów przetrzebiliście jak najgorsza zaraza. Oskarżając mnie, oskarżacie samych siebie!

– Dlatego właśnie wszystko musi się... zmienić! – rzekła gniewnie Bjarka, a na dźwięk jej słów Tiguril Bronnhaw drgnął.

Pierwszy raz na jego stoicko spokojnej twarzy dało się zauważyć jakieś emocje. Niespodziewanie poruszony czymś popatrzył na Bjarkę, przez moment mierzyli się nieruchomymi spojrzeniami. Nagle Mag zachwiał się lekko. Oni walczą, pomyślał Venur. To pojedynek toczony przy pomocy siły woli.

Zapadła napięta cisza, w której stojąca naprzeciw siebie dwójka świdrowała się nawzajem wzrokiem. Na czoło Tigurila wyszły zmarszczki, najwyraźniej nie spodziewał się oporu. Wtedy Bjarka jęknęła głośno.

Rycerz desperacko próbował zmusić odporne ramiona do działania, lecz niezdolny był uczynić najmniejszego ruchu. Musiał jej pomóc, sama nie sprostą mocy przeciwnika.

Spojrzenie Maga było twarde niczym stal. Dziewczyna jęknęła znów z wysiłku i nagle przyklękła, jak-

by ugięły się pod nią nogi.

– Tak jak... mówiłem – wystękał Tiguril. Pomimo trudu uśmiechał się – wola jest... silniejsza.

Powieki Bjarki opadały coraz niżej i niżej pod naporem tajemniczej siły oponenta. Jeszcze przez chwilę dawała mu odpór, aż w końcu padła omdlała na kamienną podłogę korytarza.

Uwięziony we własnym ciele Venur szalał z bezsilności. Przyzywał na pomoc całą siłę swej woli, by unieść miecz. Daremnie.

Dziewczyna leżała podkulonymi kolanami i dłońmi, niewinna i bezradna tak samo jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Mag dał krok w jej stronę, pochylił się lekko.

– Zawsze myślałem, że jestem wyjątkowy ze swym darem. Wybrany. – zamyślił się przez chwilę – Nie miałeś o sobie podobnego przekonania, rycerzu? Nie przyszło ci do głowy, że wybrano cię do wielkich czynów?

"Światło mocą swojego ludu, pieśnią na jego ustach..." – zaczął śpiewać w myśli Venur. Nie słuchał słów Maga, oddał się całej tej pieśni. Ona zawsze niosła mu pociechę.

– Jeżeli tak, okrutnie się pomyliłeś. Wasz król, Taomir, w przeciwieństwie do swego syna, był nieugięty. Wolał oddać życie, niż swoje królestwo. Wielki mistrz zakonu także nie dał się złamać i nie porzucił ideałów swej wspólnoty. Ty zaś, jesteś słaby.

"... Moja tarcza i moja moc. Światło mnie prowadzi, nie jestem sam..."

– Pomimo niedorzeczności przekonań, tych dwóch ludzi tak się na nich wsparło, że zdołali stawić mi opór. Nie masz w sobie nawet odrobiny ich wiary. Jesteś tutaj w wyniku szyderstwa losu, nie przeznaczenia.

"... w nim moja siła, nie jestem sam!"

Mag wyciągnął ręce do leżącej dziewczyny.

– Wielkich czynów dokonują wielcy ludzie. Ci, którzy wyszlifowali swą wolę, niczym diament, tak aby pozostali ujrzeni jak łśni i oddali przed nią pokłon!

Nagły błysk był oślepiający. Zaskoczony Tiguril krzyknął głośno, gdy złote światło wybuchło nagle zalewając zacieniony korytarz jaśniejącym blaskiem. W jednej chwili wszystko w nim utonęło. Mag odruchowo zasłonił oczy, a gdy fala jasności nieco osłabła, ujrzał sylwetkę Venura opromienioną złocistą poświatą. Rycerz uniósł miecz, ruszył z dynamicznym wy krokiem. Skręcając ciało machnął jakby od niechcenia, a pokryte światłem ostrze spadło po skosie ze straszną siłą. Z łatwością rozpruło cienki dublet, wgryzło się w bark, przemknęło głębokim cięciem po klatce piersiowej i prawym ramieniu Maga. Siła ciosu rzuciła go na ziemię. Jęcząc z bólu i oszołomienia padł na bok. Venur zręcznie obrócił długi miecz, wymierzył klingę i szybkim sztychem wbił ją w trzewia leżącego mężczyzny.

Tiguril Bronnhaw stęknął. Popatrzył na swojego kata, ale w jego oczach nie było już dotychczasowej siły. Szeroko rozwarły je niedowierzanie i strach, kiedy powoli gasły na zawsze. Zza rozchylonych warg nie nadeszło już żadne słowo. Królewski Mag znieruchomiał wpatrzony w pustkę.

Spowite złotem ostrze opuściło martwe ciało. Gdy Venur wyciągał je, nie było na nim nawet śladu krwi. Położył długi miecz na ramieniu patrząc na nieprzytomną Bjarkę. Zrozumiał, co musi zrobić. Ze swą mocą była zbyt niebezpieczna, by żyć. Miał tego świadomość od samego początku, ale wypierał ją pograżony w naiwnej nadziei. Jeszcze nie dziś, jednak pewnego dnia dziewczyna mogła stać się równie potężna, co Tiguril i postawić światu swe żądania, kto wie, czy nie jeszcze straszniejsze. Promieniejąca blaskiem postać rycerza stanęła nad nią ze wzniesionym do ciosu mieczem. Venur poprawił uchwyt, napiął mięśnie mierząc w odsłoniętą cienką szyję.

Ostrze już miało opaść, gdy nagle złota poświata przygasła.

– NIE! – krzyknął Venur. – Nie zostawiaj mnie teraz w potrzebie! Nie zdołam... sam...!

Światło jednak już odeszło, do korytarza powrócił chłodny cień. Rycerz zachwiał się trzymając gotową do uderzenia broń, jakby nagle znacznie przybyło jej ciężaru. Dygocząc z całych sił zaciskał palce na rękojeści. Nagle Bjarka otworzyła oczy. Ich piękny jasny błękit przesłonięty był mgłą oszołomienia. Potarła powieki, wsparła się na łokciach.

Venur zaciskał zęby nie spuszczać z niej oczu. Desperacko szukał w sobie choć odrobiny przepelniającej go jeszcze przed kilkoma sekundami siły, w myślach krzyczał błagając o wsparcie.

A potem z pełnym udręki jękiem odrzucił od siebie miecz, runął na kolana i porwał dziewczynę w ramiona.

– Venurze...? – powiedziała sennie Bjarka. – czy już po... wszystkim?

– Tak, moja droga – odrzekł tuląc ją. – Nikt już cię nie skrzywdzi.

Objęła go za szyję, głowę wsparła na jego barku. Rycerz trwał tak przez moment zapominając o wszystkim. Jedynym, co czuł i co pragnął w tej chwili czuć, była przyjemna woń kwiatów i ciepło ciała Bjarki.

Gdy pomagał jej wstać, obejrzał ją dokładnie, lecz najwyraźniej nie ucierpiała podczas konfrontacji z Tigurilem.

– Czy on...? – zapytała patrząc na trupa.

– Maga już nie ma. Udało nam się. Światło nas nie zawiodło, tak jak ci mówiłem. W chwili próby użyło mi swej siły i teraz nareszcie wszystko się zmieni.

Uradowany położył ręce na ramionach dziewczyny. Nie patrzyła na niego. Wzrok Bjarki ciągle błędził po martwym ciele Maga.

– Teraz wszystko odbudujemy – mówił dalej Venur. – Zakon, władzę królewską, nadszarpnięte zaufanie sojuszników. Zejście z drogi narzuconej przez Tigurila nie będzie proste, szlachta z pewnością nie przyjmie łatwo do wiadomości cofnięcia im przywilejów. Król Enzetel będzie musiał wykazać się nie lada mądrością, by przywrócić dawny stan rzeczy. Wszystkich nas czeka sporo pracy...

– Zabierz ręce – przerwała mu nagle Bjarka.

Zdziwiony Venur urwał. Spełnił jej polecenie, choć... wcale tego nie chciał.

– Co...?! – rzekł zaniepokojony, gdy nagle poczuł napływający z wewnątrz chłód.

– Masz rację, Venurze, lecz tylko w jednym. Teraz wszystko się zmieni.

Wreszcie spojrzała na niego. Jej dziewczęca twarz była bez wyrazu, oczy półprzymknięte, senne, nieobecne. Rycerz nie mógł już nic więcej powiedzieć. Bezwolnie stał bez ruchu i obserwował dalsze wydarzenia przeniknięty paraliżującym zimnem. W chwili, gdy Bjarka zaczęła mówić, usłyszał na schodach zbliżający się tupot butów.

– Dużo dały mi do myślenia twoje słowa, jak również... słowa Tigurila. Był niegodziwym człowiekiem, ale w pewnym sensie miał rację. Nie pozwolę, by wraz z upadkiem tyrana, jego miejsce zajął następny. Wasz król, choćby nie wiem jak bardzo był szlachetny, nie da swojemu ludowi tego, czego potrzebują. Nigdy nie będzie tu wolności. Zawsze znajdziecie sobie kogoś do pogardzania, wyzyskiwania, poniżania. Zawsze komuś będzie się żyło gorzej, żeby ktoś inny mógł dzięki temu żyć lepiej. Ten kraj potrzebuje nowego porządku: bez wojen, bez okrutnych panów, niewolniczej pracy, rażących nierówności między ludźmi. Bez tego, na czym dotychczas wyrósł. Wszyscy jesteśmy tacy sami, Venurze, i powinniśmy żyć tak samo wolni. Ty i twoi bracia z zakonu nigdy tego nie pojmiecie. Sami też jesteście niewolnikami pana i chępcie się tym nazywając to służbą. Dlatego nie mogę pozwolić ci... chodzić wolno.

Odgłos kroków narastał, aż na korytarz wkroczyła nagle czwórka mężczyzn. Byli to królewscy strażnicy, na ich czele zaś z zaciętą twarzą szedł kapitan straży, Tamorho Gronn.

– Tak bardzo wielbisz ten skostniały porządek rzeczy, że byłeś gotowy posłużyć się mną, by go ratować – ciągnęła Bjarka. – Rozumiem to, tak podpowiadała ci twoja wiara. Przez nią jesteś zbyt niebezpieczny. Mam nadzieję, że i ty zrozumiesz mnie.

Strażnicy byli coraz bliżej. Widząc już leżące zwłoki dobyli mieczy.

– Stać! – krzyknął kapitan Gronn.

– Być może zrozumiesz, kiedyś... Gdy wszystko już będzie inne, kiedy ludzie odrzucą miecze i z radością przyjmą pokój, który niosę im wszystkim. Tymczasem nie mogę ryzykować. Zbyt łatwo moglibyście to zniszczyć.

Nagle wyraz jej twarzy się zmienił. Bjarka zmarszczyła brwi patrząc twardo na przybyłych mężczyzn.

– Panowie, to rycerz zakonny! Zamordował członka Królewskiej Rady. Aresztujcie go natychmiast!

Tamorho Gronn przystanął wpół kroku. Bezmyślnie popatrzył na Venura.

– Tak, pani. Brać go! – polecił krótko.

Królewscy strażnicy byli bardzo sprawni. Skrępowali rycerzowi ręce, od pasa odpięli sztylet, przeszukali, czy nie ma jeszcze jakiejś ukrytej broni. Następnie poprowadzili go bez słowa. Jak zauważył Venur, wszyscy mieli oblicza pozbawione emocji.

Dwóch szło po jego bokach, jeden z tyłu, na przedzie kroczył kapitan. Milczący pochód kierował się do podziemnych lochów. Venur Lisyllwar dawał się prowadzić niezdolny do przełamania narzuconej woli. Przepelniało go zimno, a po beznamietnej, nieruchomo wpatrzonej w przestrzeń twarzy powoli płynęły

mu łązy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gabriel Dobosz, dodano 04.04.2018 08:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.